

Fayrene Preston

Bajeczny weekend

Rozdział 1

Na masce samochodu siedział czarny kot. Bardzo czarny kot w obróżce z niebieskich szklanych paciorków i ze srebrnym dzwoneczkiem wtulonym w puszyste futro na piersi.

Noah Braxton mruknął zirytowany na widok wielkiej dyni, która, przechodząc obok niego, wykonała lekki, uprzejmy ukłon.

- I co jeszcze? - pomyślał.

Nie musiał długo czekać. Na skwerze pojawił się Colombo w pomiętym, rozwianym płaszczu. Pojawił się i zaraz zniknął za olbrzymią, ranitową statua konia. Drugą stroną ulicy nonszalancko przedfilowała mumia, nie zwracając najmniejszej uwagi na wlokące się za nią bandaże. Przed jedną z wystaw sklepowych siedział duży czarny pies z szeroką pomarańczową szarfą na szyi i przechylał głowę raz na jeden, raz na drugi bok, jakby podziwiał swoje odbicie w szybie.

Noah wiedział wprawdzie, że jest w Hilary, w stanie Virginia, ale zaczynał się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie skręcił niepostrzeżenie w żółtą ceglana drogę prowadzącą do krainy OZ.

W czasie jazdy z Nowego Jorku podyktował do magnetofonu tekst, który chciał jak najprędzej przekazać swojej sekretarce. Sądził, że nadanie kasety zajmie mu nie więcej niż pięć minut. I tu się pomylił. Panienska na pocztce potraktowała go z doświadczeniem fachowca. Miała na sobie czerwony kulisty kubraczek a na głowie dwie antenki. Wyglądała jak bąk. Kompletnie zbity z tropu ani się obejrzał, kiedy opowiedział urzędnicze historię swego życia.

Miał trzydzieści osiem lat; wydział prawa w Harvardzie ukończył z wyróżnieniem; prowadził w Nowym Jorku świetnie prosperującą kancelarię i zupełnie nie pojmował

rzeczy, jakie widział w tym miasteczku przez ostatnie pół godziny.

Ponownie zerknął na zwierzę okupujące jego samochód i zdębiał. Kot raczył obrócić ku niemu głowę, ukazując jasnoniebieskie oczy i szafirową spinkę do mankietów wystającą z pyszczka. Dokładnie taką samą spinkę zgubił chyba tydzień temu, ale nie, to niemożliwe... Nagle zauważył otwarte okno w samochodzie; widocznie nie zamknął szyby, gdy szedł na pocztę.

Kot przyglądał mu się spokojnie z wyniosłym i pogardliwym wyrazem w swoich dziwnych niebieskich oczach.

Noah przystąpił do ataku.

- Oddawaj mi moją spinkę, ty złodzieju! Kot przymknął oczy, jakby chciał powiedzieć:

- Kto? Ja?

Noah rzucił się do przodu - i złapał tylko garść powietrza. Rozciągnięty na masce napotkał trochę rozbawione, trochę szydercze spojrzenie kota, który siedział na chodniku.

Wyprostował się i postanowił zmienić taktykę.

- Kici, kici, koteczku.

W niebieskich ślepiach zamigotało coś, co miało znaczyć: „Wolne żarty, kochany”, po czym cała czarna postać uniosła się majestatycznie do góry i kot drobnym truchcikiem pobiegł przez skwer, nie wypuszczając spinki z zębów.

Noah z ponurą determinacją ruszył za nim. Odgłos pomarańczowo-czarnych chorągiewek, powiewających w lekkich podmuchach wieczornego wiatru, mieszał się z dziwnym, cichym szelestem pęków słomy kukurydzianej, które kołysały się na starych gazowych latarniach przerobionych na elektryczność. Drzwi wszystkich domów zdobiły tykwy i lampiony z wydrążonych dyni.

Kot zatrzymał się pośrodku skweru obok konia i obejrzał się. Noah miał wrażenie, że czeka na niego, ale kiedy doszedł do konia, kot siedział na brzegu skweru. Podbiegł tam, lecz kot zdążył już przejść na drugą stronę ulicy i, obejrzawszy się po raz ostatni, zniknął w drzwiach sklepu w starym wiktoriańskim domu.

Noah, skonsternowany, przystanął na chwilę. Wysoki, biały drewniany dom o stromym dachu zwieńczonym na szczytach kwiatonami miał w sobie raczej coś gotyckiego. Wszystkie widoczne okna były otwarte i bez firanek, a pod oknami, na parterze i na piętrze, wisiały skrzynki z purpurowymi, żółtymi i białymi chryzantemami.

Nad otwartymi drzwiami widniał szyld z napisem ILUZJE.

Noah jednym susem przeskoczył ulicę i znalazł się nagle w innym świecie. Nie był tylko pewien, czy wylądował w bajce dla grzecznych dzieci, czy w jakimś horrorze.

Wszędzie wokół niego piętrzyły się jedne na drugich boa z piór i suknie wyszywane cekinami, kostiumy duchów, wampirów i potworów. Na półce biegnącej pod sufitem stały rzędem maski wszelkiego rodzaju i głowy bez twarzy, dźwigające peruki w jaskrawych kolorach.

Kątem oka uchwycił niebieski błysk. Na wysokiej antycznej komodzie leżała niebieska, satynowa poduszka, na niej zaś siedział jak na tronie czarny kot. Spinka ledwie się trzymała między białymi ostrymi zębami.

- No, nareszcie go mam - pomyślał zadowolony.

Rozejrzał się po sklepie. Przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku od półki zastawionej słojami pełnymi dziwnych liści i patyczków. **DZIECI POZOSTAWIONE BEZ OPIEKI ZOSTANĄ ZAMIENIONE W ROPUCHY** - głosił napis na ścianie. Poczul się nieswojo.

Machinalnie podniósł z lady cylinder i natychmiast odłożył. Pod cylindrem siedział wypchany królik i szczyrzył zęby. Sięgnął po leżącą obok laseczkę i podskoczył, gdy ta wystrzeliła mu w noc bukietem kwiatów. Zrezygnował z dalszych eksperymentów. Subtelny zapach egzotycznych korzeni, unoszący się w powietrzu, działał obezwładniająco, niwecząc ostatnie już resztki kontaktu z rzeczywistością.

Przez miękką, opalizującą ścianę z kości słoniowej weszła do sklepu młoda kobieta ubrana w czarną suknię z wysokim kołnierzem i czarne botki na wysokim obcasie. Jasne włosy spływały na ramiona kaskadą szalonych loków i fal, jakby właśnie potargał je wiatr. A przecież na dworze było cicho.

- Znowu się głupia zepsuła - wymamrotała pochylając się nad słomianą miotłą, którą trzymała w ręku.

Noah usiłował dyskretnie przełknąć coś, co nagle stanęło mu w gardle i oczywiście zrobił to bardzo głośno. Kobieta podniosła głowę. Poczuł na sobie przeszywające spojrzenie jasnyniebieskich oczu w kształcie migdałów. Nigdy jeszcze nie widział takich oczu. Z lekka opuszczone, zagadkowe i czarujące, wciągały go w enigmatyczną niebieską otchłań. Miały ten sam kształt i tę samą hipnotyczną moc, co oczy kota.

- Czym mogę służyć?

Aksamitny, melodyjny głos oczarował Noaha. Stał jak wryty i nie odpowiadał.

- Jeśli życzy pan sobie postać tutaj, to mogę panu wynająć to miejsce za darmo - powiedzmy na trzy tygodnie. Obawiam się jednak, że później będzie pan musiał płacić - powiedziała lekko przychylając głowę.

Niezrozumiała, dziwaczna atmosfera miasteczka i nastrój tego sklepu, jakby z innego świata, nie dawały mu spokoju. I te jej rozwichrzone włosy. Musiał zapytać:

- Co się stało z pani miotłą? Za dużo na liczniku? Nieznacznie tylko uniosła brwi, zachowując chłodną królewską postawę. Znowu przypominała kota.

- Kim pani jest? - zapytał szorstko.

- Jestem Rhiannon. Rhiannon York.

- Rhiannon? Czy to nie była przypadkiem walijska czarownica?

- No cóż, jak pan wie, legendy i historia nie zawsze potrafią docenić ludzi. Osobiście uważam, że Rhiannon była niewinna.

- Co to za miejsce? - czuł, że traci grunt pod nogami.

- „Iluzje”. Sklep z kostiumami i rekwizytami magicznymi. A pana zdaniem?

- Nie jestem pewien.

- Chciałby pan wypożyczyć albo kupić kostium? Miękki, pieśzcotliwy głos usypiał czujność, musiał się bronić.

- Nie. Chcę tylko odzyskać moją spinkę do mankietów.

Przyglądała mu się poważnie, odnosił jednak wrażenie, że ta sytuacja ją bawi.

- Dlaczego pan sądzi, że ja mam pana spinkę?

- Nie sądzę, wiem to na pewno - pani kot ją ukradł.

Spojrzała prosto na szczyt antycznej komody, jakby cały czas dobrze wiedziała, że tam właśnie siedzi. Noah poszedł za jej wzrokiem i ku swemu zdumieniu zobaczył anielsko niewinną minę kota. Po spince nie było śladu.

- On ją miał - powiedział stanowczo. - Zapewniam panią, widziałem, jak trzymał ją w zębach.

- Nie wątpię - odparła uprzejmie. - Czy mógłby pan opisać swoją zgubę?

- Kwadratowy szafir w oprawie ze złota - wycedził wściekły.

Odsunęła na bok cylinder z wypchanym królikiem i na ladzie położyła miotłę.

- Graymalkin, chodź tu do mnie - zawołała. Kot, pobrzękując srebrnym dzwoneczkiem, zeskoczył zwinnie z komody prosto w jej ramiona.

- Co też ci przyszło do głowy, Graymalkin - skarciła kota głosem pełnym podziwu. - Byłeś niegrzeczny?

Kot, przymknąwszy oczy, mruczał zadowolony. Cała ta scenka niezwykle zirytowała Noaha.

- Cóż to za imię dla kota.

- To imię kota z Makbeta.

Natychmiast skojarzył. Graymalkin był sługą Pierwszej Czarownicy, a ten tutaj dosłownie przyprowadził go do swojej pani.

- Czy ten kot wykonuje pani polecenia? Sposób, w jaki uniosła kąciki ust kompletnie go zauroczył.

- Tylko bardzo specjalne polecenia, panie Braxton.

Noah osłupiał. - Pani wie, kim ja jestem?

- Jeśli nazywa się pan Noah Braxton, to owszem.

- Ależ to niemożliwe. Przyjechałem do tego miasteczka dokładnie czterdzieści pięć minut temu. Nikt tu nie zna mojego nazwiska.

Nagle mignął mu przed oczami obraz panienki z poczty.

- Nikt... z wyjątkiem pewnego wesołego bąka.

- Oh, poznał pan Edwinę? Wszystko to było bez sensu.

- A właśnie, może mi pani powie, co się tu u licha dzieje. Skąd te wszystkie dekoracje i kostiumy?

- Zaduszki, panie Braxton. Zaduszkowy karnawał.

- Zaduszki? - Noah zmarszczył brwi i szybko policzył daty.

- Przecież dopiero jest czwartek, a Zaduszki zaczynają się w poniedziałek.

- Zaduszki mają u nas długą i bogatą tradycję. Czekamy na ten dzień przez cały rok i lubimy zaczynać nieco wcześniej.

- Ale dlaczego właśnie Zaduszki, dlaczego nie... powiedzmy 4 lipca czy Święto Dziękczynienia?

- Dawno już temu zdecydowano, że 4 lipca jest za gorąco na porządną zabawę, a Święto Dziękczynienia, cóż... - wzruszyła ramionami. - Poza tym jest legenda...

Wpatrywał się w nią, czując, jak coraz głębiej wciąga go hipnotyczna toń niebieskich oczu.

- Odeszliśmy od tematu - powiedział sam zdziwiony nieprzyjemnym tonem swojego głosu.

- Ach, a o czym to mówiliśmy?

- Chciałbym wiedzieć, skąd zna pani moje nazwisko - stwierdził z ulgą, że udało mu się to powiedzieć całkiem normalnie.

Pańskie ciotki, Esme i Lawinia de Witt, są dobrymi znajomymi mojej babki. Często je odwiedzam. Powiedziały mi, że ma pan do nich przyjechać na ten weekend. Ślad wątpliwości jednak pozostał.

- Ale dlaczego sądzi pani, że właśnie ja jestem tym siostrzeńcem?

Posłała mu uśmiech, który mógłby skruszyć każdy lodowiec, ale jej dalsze wyjaśnienia znów go zmroziły.

- Mówiły, jak pan wygląda. Powiedziały, że jest pan bardzo miły, choć niestety bardzo zasadniczy.

- Inną sprawą, o której byłbym zapomniał, to moja spinka - warknął. - Gdzie ona jest?

- Nie mam zielonego pojęcia, ale chętnie pomogę panu szukać.

Opuściła ręce i Graymalkin zeskoczył na podłogę, po czym zniknął w ścianie w głębi sklepu.

Noah wyteńczył wzrok i nareszcie zrozumiał, o co chodzi. Wisiała tam kotara z lekkiego, błyszczącego materiału oddzielająca sklep od zaplecza. To logiczne wyjaśnienie

uspokoilo go troche, ale mimo to pomyslal, ze im prędezej opuści to miejsce, tym lepiej.

Czul, jakby jego umysl zmienial kat nastawienia i kazal mu widziec rzeczy, ktorych nie ma i wyobrazac sobie rzeczy niemozliwe. Spojrzal na miotle lezaca na ladzie. Miała po prostu wyrwany trzonek. Ale do wyjasnienia pozostawala jeszcze ona sama, ta niezwykla kobieta o nieprzeniknionych niebieskich oczach.

- Ja sprawdzę poduszkę Graymalkina, a pan może się rozejrzeć po sklepie.

Stal, przypatrujac się, jak toruje sobie droge między wieszakami uginającymi się pod stosami kostiumów i gablotami na rekwizyty. Nigdy jeszcze zadna kobieta ani zaden mężczyzna, zaden czlowiek nie zdołal go wprowadzić w takie zakłopotanie.

- A jak to się właściwie stalo, ze Graymalkin porwal pana spinke - zapytala unoszac się na palcach na malej skladanej drabince i zagladajac pod poduszkę kota.

Noahowi ukazal się na chwile kuszacy widok pelnego, jedrnegu biustu rysujacego się pod suknią. Dociekliwe spojrzenie znad ramienia ponaglilo go do odpowiedzi.

- Musial wejść do samochodu. Zostawilem otwarte okno, kiedy szedlem na poczte.

- Trzyma pan spinki w samochodzie?

- Zgubilem je jakis tydzien, moze dwa temu, nie pamietam gdzie. Na szczescie w biurze trzymam zapasowe.

- Zawsze przygotowany na wszelka ewentualnosc - powiedziala od niechcienia i zesla z drabinki.

- Na taką ewentualność nie byłem przygotowany - mruknal.

Uslyszala.

- Wiem, że to denerwujące zgubić coś tak cennego. Powinien pan lepiej pilnować rzeczy, do których jest pan przywiązany.

Mówiła to tym samym pieszczotliwie karcącym głosem, jakim przemawiała do kota. Nigdy jeszcze nie był traktowany jak kot.

- Po pierwsze, to nie moja wina, że zgubiłem tę spinkę. Widocznie zamek się obluzował i nie zauważyłem, kiedy spadła. Po drugie, nie jestem do nich specjalnie przywiązany. To po prostu cholernie drogie spinki i rzadko je noszę.

- Oczywiście. Rozumiem doskonale - zerknęła jeszcze za komodę i przykucnęła, by rozejrzeć się po podłodze.

- Tutaj nic nie ma. Znalazł pan coś?

Pomyślał, że dobrze wiedziała, że nawet nie usiłował szukać. Te jej spuszczone oczy były nie tylko tajemnicze, ale i niebezpieczne. Nie powinien w nie patrzeć, lecz ostry zapach kwiatów towarzyszący mu odkąd wszedł do sklepu, uderzał mu do głowy utrudniając myślenie. Wyraźnie pachniało czarami.

- Co to tak pachnie?

Podeszła do stolika, na którym stała cała kolekcja rozmaitych świec.

- Chyba te aromatyzowane świece.

Dźwięk pocieranej zapalki zabrzmiał bardzo ostro, a płomyk, który trzymała przy świecy, czekając aż się zapali, był zastanawiająco jasny.

- Czy czarownice nie boją się ognia?

- Ma pan na myśli czasy, kiedy czarownice palono na stosach? - zgasiła zapalkę lekkim dmuchnięciem.

Pominał milczeniem jej pytanie, zastanawiając się, po co on sam zadaje głupie pytania. Przecież nigdy nie zadaje głupich pytań, a ostatnia czarownica, która przez czas jakiś

zaprzątała jego głowę, to była czarownica z bajki o Hansel i Gretel. Miał wtedy cztery lata.

- Ogień to żywioł - powiedziała z uśmiechem, którego nie rozumiał. - A jedną z umiejętności, jakie rzekomo posiadają czarownice, jest panowanie nad żywiołami.

Do licha. Dlaczego ona go tak niepokoi.

- To nie świece - burknął, przyciągając ją do siebie. - To pani tak pachnie.

- Ja nie używam perfum.

- Na to wygląda.

Trzymał ją mocno za ramiona, lecz odnosił wrażenie, jakby to ona ciągnęła go do siebie. Miał wielką ochotę ją pocałować. Śmieszne. Przecież w ogóle jej nie zna.

- Ten zapach jest według pana nieprzyjemny?

- Jest oszałamiający, a pani niewiarygodnie piękna. Pani jest czarownicą, prawda?

Podniosła wolną rękę i pogłaskała go delikatnie po policzku.

- Jest pan bardzo zmęczony. Odbył pan dzisiaj długą podróż.

- Tak, to prawda.

- Powinien pan teraz pojechać do ciotek. Czeka tam na pana dobra kolacja i miękkie łóżko.

- Miękkie łóżko - powtórzył jak w transie, nie mogąc oderwać od niej oczu. Ona i miękkie łóżko. Chciał się z nią kochać. Na samą myśl o tym zrobiło mu się gorąco.

- Znajdę pańską spinkę, ale teraz proszę już iść. Krok po kroku wycofywał się ku drzwiom nie spuszczać z niej oczu. Coraz bardziej oddalali się od siebie i coraz gęstszy mrok spowijał wnętrze sklepu, aż wreszcie widział już tylko jej smukłą sylwetkę i bladożółtą poświatę, jaką tworzyło wokół jej głowy rozproszone światło świecy.

Kiedy znalazł się na chodniku, jakiś wewnętrzny głos kazał mu spojrzeć w górę.

W oknie na piętrze siedział Graymalkin patrząc na niego z góry swoimi niezwykłymi, zagadkowymi oczami.

Noah jeszcze raz spojrzął do sklepu.

Rhiannon już tam nie było.

Obserwując z czułością jak ciotka przesuwając ręką po włosach, Noah doszedł mimochodem do wniosku, że lawendowa fryzura Lawinii de Witt przypomina fantastycznie ubarwione ptasie gniazdo.

- Strasznie się cieszymy, że przyjechałeś - powiedziała. - Tak dawno się nie widzieliśmy.

Jej siostra Esme kiwnęła potwierdzająco głową, podając mu szynkę.

- Zawsze bardzo lubiliśmy odwiedzać was w Nowym Jorku, ale ostatnimi czasy...

W ostatnim momencie zdążył wziąć od Esme półmisek, ratując całą zawartość przed zsunieniem się w lekki, biały obłok zawieszony nad jaskrawopomarańczowym obrusem. Przyjrzał się dokładniej dekoracji stołu. Ze stojącej pośrodku wydrążonej dyni, wydobywały się kłęby pary wytwarzane z kawałków suchego lodu podgrzewanego świeczką. Ciotki były tak zachwycone osiągniętym efektem, że nie miał serca zwrócić im uwagi, że przez to jedzenie zupełnie wystygło. Nałożył sobie gruby plaster wiejskiej szynki i odłożył sztućce.

- ...jazda pociągiem stała się dla nas zbyt męcząca - powiedziała Lawinia, kończąc zdanie zaczęte przez siostrę.

- Wiesz mój reumatyzm. Ale naprawdę bardzo za tobą tęskniłyśmy. Teraz, kiedy biedna Rebeka odeszła, mamy tylko ciebie.

Zmarła przed dwoma laty Rebeka, jego matka, była najmłodszą z sióstr. Na wspomnienie jej imienia poczuł w sercu delikatne ukłucie. Była podobna do Esme i Lawinii, lecz

bardziej rozsądna i subtelna. Syn i mąż, makler z Wall Street, darzyli ją wielką miłością.

- Jesteś obecnie naszym jedynym krewnym - dodała Esme.

Włosy Esme miały odcień gdzieś między różowym a truskawkowym, zależnie z której strony się patrzyło. Noah ze zdziwieniem skonstatował, że dla niego ciotki zawsze wyglądały dokładnie tak samo, jak w tym momencie. Z każdym rokiem przybywało im tylko kilka zmarszczek.

- Powiniennem był przyjechać wcześniej - przyznał całkiem szczerze. - I mnie was brakowało, ale pracuję osiemnaście godzin na dobę.

Esme obdarzyła go uśmiechem pełnym zrozumienia, co sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej, niż i tak się czuł z powodu wielokrotnego odkładania wizyty.

- Młodzi ludzie są teraz tacy zapracowani - powiedziała.

- Napij się mrożonej herbaty.

- Należę sobie, ciociu - odrzekł skwapliwie sięgając po ciężko wyglądający dzbanek.

- Czy wiesz, że twoja matka urodziła się w tym domu?

- Tak, ciociu Lawinio.

Ukradkiem rzucił okiem na wypłowiałe, obłazące tapety i pomyślał, że jego matka jako mała dziewczynka prawdopodobnie siadywała przy tym samym stole i patrzyła na te same kwiaty na ścianach. Wiedział z całą pewnością, że ciotki nie miały problemów finansowych. Po prostu nie dbały o urządzenie domu - oczywiście z wyjątkiem zaduszkowych dekoracji.

- No cóż, można powiedzieć, że jesteś we właściwym miejscu, odezwała się Lawinia. - Powinieneś lepiej poznać dom i rodzinne miasto twojej matki.

- A poza tym jest doskonały moment - uśmiechnęła się Esme nadymając pomarszczone policzki. - Właśnie

świętujemy Zaduszki i wszyscy mają nadzieję, że w tym roku spełni się legenda.

Spojrzał badawczo na ciotkę. Rhiannon także wspominała o jakiejś legendzie.

- Rhiannon mówi, że w tym roku róże kwitną piękniej niż kiedykolwiek - powiedziała Lawinia.

Serce zabiło mu szybciej na wspomnienie kobiety, o której nie mógł przestać myśleć. Odłożył widelec i oparł dłonie na brzegu stołu.

- Spotkałem Rhiannon, kiedy byłem w miasteczku.

Lawinia klasnęła w ręce zachwycona.

- Jak to dobrze, że już się poznaliście. To wspaniała dziewczyna. Ogromnie...

- ...ją lubimy - przerwała Esme, by dokończyć słowa Lawinii.

- Ona jest trochę... nie z tej ziemi - powiedział, krzywiąc się z niesmakiem. Był przecież rozumnym, inteligentnym i wykształconym człowiekiem, odnosił sukcesy zawodowe i wyrobił sobie opinię osoby dość elokwentnej, a tu z jakiegoś powodu nie potrafił wyrazić swoich niejasnych uczuć, prawie tak, jakby Rhiannon rzuciła na niego urok.

Esme musiała długo rozgarniać ręką mgłę nad stołem, zanim zlokalizowała salaterkę ze słodkimi ziemniakami.

- Nie z tej ziemi, kochanie? - zapytała nakładając sobie na talerz. - Była przebrana za ducha?

- Nie. Była ubrana na czarno; była cała czarna, jak jej kot. Zauważyliście, że ten kot ma taki sam kolor oczu jak ona?

- Przepiękny odcień błękitu, prawda - radośnie potaknęła Lawinia. - Bardzo mi się podoba.

- Ale ten kot... jest jakiś dziwny, nie sądzisz?

- Och, nie znasz kotów, kochanie - odparła Lawinia.

- To dlatego, że twoja matka była uczulona na koty - dodała Esme.

- Wiem, że nie bardzo znam się na kotach, ale ten jest zdecydowanie dziwny. Wiecie, że dała mu imię z Makbeta - powiedział Noah nieświadomie zaciskając pięści.

- Rzeczywiście ma szekspirowski wygląd - ta spiczasta bródka i te śliczne wąsy.

- I ma w sobie coś królewskiego - uśmiechnęła się Lawinia.

- Kot w Makbecie nie był królem - powiedział, starając się nie denerwować rozkoszną paplaniną ciotek. - Był posłańcem, a ten kot naprawdę zaprowadził mnie do Rhiannon.

- To bardzo rozumne z jego strony i wygodne dla nas. Zamierzałyśmy cię poznać z Rhiannon, a teraz już nie musimy.

Lavinia popatrzyła na siostrę w oczekiwaniu na znak, że Esme jest równie zadowolona z obrotu sprawy. Promienny uśmiech Esme dowodził, że tak jest istotnie.

- Graymalkin jest taki kochany. Od czasu do czasu zanosimy mu prezenciki.

- Odwiedzamy go u niego - powiedziała Lawinia.

- On do nas nie przychodzi, to za daleko od miasta.

Noah westchnął. Przemię, ale całkiem zwariowane staruszki. Powinien zapomnieć o Rhiannon i skupić się na tym, co go sprowadziło do Wirginii. Jego żywiołem było rozwiązywanie trudnych problemów, a wyglądało na to, że cioteczki mają poważny problem.

- Może zajmiemy się teraz waszym listem. Napisałyście, że zaoferowano wam kupno waszej posiadłości po niezwykle atrakcyjnej cenie. Nie powiedziałyście wprost, o co chodzi, ale natychmiast wyczułem, że coś wam się nie podoba.

Ciotki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Esme zaczęła się intensywnie wpatrywać w serwetkę na swoich kolanach.

- Nie chcemy nic sprzedawać, Noah. Ta ziemia od pokoleń należy do rodziny. Po nas, ty ją odziedziczysz.

- Kwestia spadku dla mnie nie powinna wpływać na wasze decyzje - zniecierpliwiał się Noah. - Ale rozumiem, że możecie nie chcieć sprzedawać ziemi. Nie rozumiem tylko, dlaczego ta propozycja was niepokoi. W czym problem?

Esme i Lawinia znowu spojrzały po sobie. Tym razem głos zabrała Lawinia.

- Chodzi o to, że cena jaką nam proponują, znacznie przewyższa aktualną cenę rynkową gruntów w tej okolicy.

- Chyba mało kto by się przejmował takim problemem - powiedział z uśmiechem.

- Masz całkowitą rację, ale wydarzyło się parę rzeczy, które...

- ...nas zdenerwowały.

- No dobrze - Noah usadowił się wygodniej na krześle. - Opowiadajcie od początku.

- Trzej inni właściciele, mieszkający po tej stronie miasta, dostali takie same oferty sprzedaży ziemi za równie wysoką cenę - zaczęła Esme. - Oni także nie mieli ochoty sprzedawać swoich farm, ale w końcu to zrobili.

- Po prostu zmienili zdanie - wzruszył ramionami Noah.

- Oczywiście - Lawinia parsknęła w mało dystyngowany sposób. - Ale to nie wszystko. Justin McMurphy, jeden z właścicieli, przysiągł, że już nigdy w życiu nie weźmie kieliszka do ust po tym, jak pewnej nocy zobaczył na swoim polu jankeskiego żołnierza, który galopował na koniu i wymachiwał zakrwawioną szablą.

- Czy ten facet pił?

- Justin pił jak świnia i to przez wiele lat, ale nie o to chodzi - tłumaczyła Esme. - Rzecz w tym, że jankieski żołnierz pokazywał się zawsze i wyłącznie na głównej ulicy

miasta - nigdy gdzie indziej. I oczywiście to bardzo szczególny przypadek.

- Esme ma rację. Ten chłopak nigdy nie grzeszył punktualnością, to jednak było grubo za wcześnie, nawet jak na Johna Millera.

- O kim wy mówicie - zapytał kompletnie skonfundowany.

- O Johnie Millerze, kochanie. Potem była Elizabeth Deily. Trudno ją posądzić o słabe nerwy, a tu nagle zebrała się i wyniosła do córki do Richmond. Powiedziała, że ma już dość tych dziwnych hałasów.

- A co powiesz o Fredzie Willinghamie - zwróciła się Lawinia do siostry. - Niedawno odwiedził jego gospodarstwo inspektor sanitarny z powiatu. Twierdził, że prowadzi rutynowe badania studni w tej okolicy. Kiedy skończył, zakomunikował Fredowi, że wszędzie dookoła występuje duże stężenie ołowiu i że woda nie nadaje się do picia. To był straszliwy cios dla Freda i jego rodziny. Niecałe dwie godziny później przyjechała ciężarówka załadowana wodą mineralną. Bardzo to ładnie z czyjejs strony, lecz fakt pozostaje faktem: Fred wpadł w panikę. Nie pomyślał nawet o sprawdzeniu wyników badań.

- Ani o sprawdzeniu owego inspektora. Fred po prostu zgodził się sprzedać ziemię, wziął zaliczkę i wyjechał.

Noah spoglądał to na jedną, to na drugą ciotkę.

- A więc, w ostatnim czasie trzy osoby sprzedały ziemię i wyniosły się stąd na skutek różnych dziwnych wydarzeń, tak? Czy i u was zdarzyło się coś dziwnego - zapytał po chwili milczenia.

- Nie - rzekła Esme. - I być może niepotrzebnie się martwimy. Nasza przyjaciółka Gladys także mieszka po tej stronie miasta i nic jej się nie przytrafiło.

- Oczywiście nie mogło się jej nic przytrafić, ponieważ nie było jej tutaj przez ostatni tydzień. Rhiannon wysłała Gladys...

- ...Gladys jest babką Rhiannon - powiedziała Esme na widok zdziwionej miny Noaha.

- ...na miesiąc do jej siostry do Walii - zakończyła Lawinia.

- Urodziny Gladys wypadają dopiero w przyszłym miesiącu, ale Rhiannon zafundowała babce podróż jako prezent przedurodzinowy. Czyż to nie miłe z jej strony?

Noah nie był pewien, czy w przypadku Rhiannon można mówić o miłych czy też niemiłych motywach, bo wszystko co robiła wyglądało podejrzanie. On sam był człowiekiem mocno osadzonym w rzeczywistości, natomiast mieszkańcy tego miasteczka, nie wyłączając jego ciotek, nie znali pojęcia rzeczywistości. Po niespełna jednym dniu pobytu był o tym całkowicie przekonany.

Opisane wydarzenia można by ostatecznie potraktować jako zbieg okoliczności albo skutki nadmiernej fantazji, mimo to jednak myślałby znacznie spokojniej o powrocie do Nowego Jorku i o ciotkach mieszkających samotnie na farmie, gdyby udało mu się rozsądnie to wszystko wytłumaczyć.

- Kto występował z ofertą?

- Nie wiadomo. Listy przysyłał tutejszy prawnik... nazywa się Clifford Montgomery.

- Twierdzi, że działa w imieniu klienta, który nie chce ujawniać swego nazwiska.

- Wyobraź sobie - rzekła Lawinia zgorziona. - On nawet nam nie chciał powiedzieć.

- Chociaż obiecywałyśmy, że nikomu nie powiemy.

Noah podjął decyzję.

- Mogę tu zostać do niedzieli rano. Mam więc dwa dni. Rozejrzę się po mieście i zobaczymy, co da się zrobić.

- Dwa dni - westchnęła Lawinia. - Doprawdy, myślałyśmy, że zostaniesz dłużej.

- Och, Lawinio - powiedziała Esme do siostry ze znaczącym uśmiechem. - Przecież przez dwa dni tyle może się wydarzyć.

Obie naraz uśmiechnęły się uroczo do Noaha.

- Kochanie, czy masz teraz ochotę na grzane wino?

Noah leżał w łóżku, w którym jego matka spała jako dziecko i wpatrywał się w sufit. Kojący chłód nocnego jesiennego powietrza przenikał przez koronkowe firanki. Obraz tajemniczej Rhiannon nie dawał mu zasnąć. Czarodziejskimi sztuczkami zawróciła mu w głowie, omotała go zmysłową pajęczyną. Przez jeden, niewiarygodnie krótki ułamek sekundy zastanawiał się, czy rzeczywiście nie jest czarownicą. Wyjaśnienie było proste - przepracowanie. Teraz dobrze się wyśpi, potem posiedzi z ciotkami, dowie się, co jest grane w sprawie ziemi - o ile coś jest grane - i za dwa dni wyjedzie. Nie ma powodu, by znów musiał spotkać się z Rhiannon. Ułożył się wygodniej zadowolony ze swego planu.

Mocniejszy podmuch wiatru rozsunał firanki. Noah spojrzął w oko.

Na parapecie siedział czarny kot w obróżce z niebieskich szklanych paciorków ze srebrnym dzwoneczkiem, wpatrując się w niego poprzez ciemność. Siedział tak nieruchomo, że wyglądał jak statuetka. Po chwili lekko przekręcił głowę, tyle tylko, by światło księżyca odbiło się w jego oczach, które zapłonęły jak niebieski neon.

W swojej sypialni Rhiannon, zwinięta na fotelu przy oknie, uśmiechała się patrząc w noc.

Rozdział 2

Rhiannon wychylona przez okno na piętrze patrzyła z góry na swego gościa. Była bardzo zadowolona. Noah spoglądał groźnie na drzwi sklepu, nieświadomy, że ona jest tuż nad nim. Postanowiła poczekać chwilę, zanim ujawni swoją obecność. Z takim mężczyzną jak Noah Braxton należało się mieć na baczności.

Przez całe lata wysłuchiwała zachwyków Esme i Lawinii na jego temat, ale zawsze przypisywała to ślepej miłości starych ciotek, które nigdy nie miały własnych dzieci. Mówiły, że jest przystojny, lecz nie wspomniały o jego ciemnych oczach i o tym, jak uważnie przyglądał się komuś, z kim rozmawiał. Zapomniały też powiedzieć o gęstych ciemnych włosach, tak doskonale ułożonych, że chciałoby się zanurzyć w nich dłonie i potargać. Zupełnie zapomniały opisać, jak świetnie leży eleganckie ubranie na jego wysokiej, szczupłej postaci.

Bardzo szybko stwierdziła, że Noah jest inteligentnym, przesadnie poważnym i budzącym pożądanie mężczyzną. Pragnęła go.

Nikt jeszcze nie zrobił na niej takiego wrażenia, a co dziwniejsze, nagłość i całkowita pewność tego uczucia wcale jej nie przstraszyły. Urodziła się z darem dokonywania właściwych wyborów i rzadko kiedy kierowała się w swoich decyzjach czymś innym poza własnym instynktem. Myślała o nim całą noc i jeśli czystą siłą woli można kogoś do siebie przywołać, to w tym przypadku tak właśnie się stało.

Noah, zniecierpliwiony, zastukał do drzwi. Według obliczeń Rhiannon robił to już po raz czwarty.

- Dzień dobry - zawołała.

Odchylił głowę do tyłu, spojrział w górę i wstrzymał oddech.

Rhiannon wyglądała tak, jakby dopiero co wstała z łóżka... albo jakby przed chwilą wróciła z całonocnej podróży wśród gwiazd. Nie mógł się zdecydować, która z tych możliwości była bardziej pociągająca.

Złote włosy opadały na obnażone alabastrowe ramię i dalej ku zaczynającej się wypukłości biustu. Reszta pozostawała ukryta. Oczyma wyobraźni uzupełnił brakujące elementy. Zaszło mu w gardle.

- Na ogół nie otwieram tak wcześnie - powiedziała. - Ale jeżeli spodobało się panu coś wczoraj...

Już, już miał powiedzieć, co mu się wczoraj spodobało, na szczęście odezwało się jego prawnicze doświadczenie.

- Chciałbym z panią porozmawiać. Poczekam, aż się pani ubierze.

- Zaraz wracam - powiedziała, znikając w głębi pokoju.

Noah wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się dookoła. Poza strachem na wróble, który wyprowadzał psa, nie było nikogo na ulicy.

Wiedział, że przyszedł nieco za wcześnie. W pewnym momencie w nocy postanowił jednak jeszcze raz odwiedzić Rhiannon. Przyszło mu bowiem na myśl, że może wiedzieć coś, co może mu pomóc. Chciał się dowiedzieć, czy wysłanie babki w podróż do Walii było istotnie tylko prezentem, czy też kryły się za tym jeszcze inne sprawy.

Przesunął wzrokiem po zaroślach dzikich róż rosnących obok domu Rhiannon, a potem skupił uwagę na imponującej postaci konia na środku skweru. Uniesiona granitowa głowa, czujne granitowe oczy i lejce zarzucone na szyję - był jakiś dziwny...

Za plecami usłyszał otwieranie drzwi. Odwrócił się i zobaczył Rhiannon. W czarnym jedwabnym kimonie wyglądała nieprawdopodobnie pięknie.

Poczuł gwałtowne uderzenie gorąca i musiał przyznać, że był jeszcze jeden bardziej istotny powód tej porannej wizyty. Tak naprawdę przywiodła go tutaj nieodparta chęć ujrzenia jej ponownie - nic więcej.

- Proszę wejść - powiedziała łagodnie, wpuszczając go do sklepu. - Czy dziś czuje się pan już lepiej?

- Lepiej?

Czarny, lśniący jedwab nadawał jej skórze zmysłowy połysk - ręce zadrżały mu z pożądania.

- Wczoraj wyglądał pan na bardzo zmęczonego - odparła zamknawszy za nim drzwi. - Odespał pan podróż?

- Tak, chociaż nie prędko zasnąłem. Miałem gościa.

- Och?

- Pani kot był łaskaw złożyć mi wizytę.

- Graymalkin uwielbia się włóczyć po nocy - uśmiechnęła się Rhiannon.

Uśmiech czynił jej twarz jeszcze piękniejszą, a przy tym czuł wyraźnie, że działają tu jakieś nieczyste moce i nie mógł tego tak zostawić.

- Ciotki wspominały wczoraj, że on nigdy nie zapuszcza się aż na farmę.

- Rzeczywiście, to trochę daleko jak dla niego - przyznała.

- A propos, jeszcze nie znalazłam pańskiej spinki. Spojrzał na nią bezmyślnie. Przecież musi być jakieś wytłumaczenie.

- Gdzie jest teraz Graymalkin?

- Nie widziałam go dzisiaj - powiedziała obojętnie. - Przychodzi i wychodzi kiedy chce. Jest bardzo niezależną osobą.

- Osobą? Chciała pani powiedzieć - kotem. Rzuciła mu dziwne spojrzenie, choć i bez tego od razu pożałował swoich słów. Zbyt intensywnie pracująca wyobraźnia szarpała mu

nerwy. Nigdy nie przypuszczał, że ma nerwy. Z drugiej strony, zanim nie znalazł się w Hilary, w stanie Wirginia, nie przypuszczał, że może posiadać wyobraźnię.

Poprowadziła go w głąb sklepu poruszając się lekko i elegancko jak tancerka. Wyglądała na istotę całkiem realną. Czy to możliwe, by mogła panować nad żywiołami? A co ważniejsze, czy miał choć cień szansy, żeby nie dać jej zapanować nad sobą?

Coś niemile przygniatającego runęło mu z nienacka na głowę. Dusił się i nic nie widział. Usiłował się wyplątać, lecz im bardziej się starał, tym bardziej się zaplątywał i tracił oddech.

- Noah, Noah, co ty wyprawiasz - usłyszał aksamitny głos Rhiannon.

Odczekał chwilę aż serce przestanie mu walić, dał dwa kroki do tyłu i zobaczył, że wpadł na wieszak z kostiumami - atakującym potworem okazała się peleryna Upióra z Opery. Poczul się jak ostatni idiota.

- Zdaje się, że nie zauważyłem.

- Sklep jest okropnie zatłoczony, wiem - jej uśmiech wyrażał współczucie. - Idź za mną, a na pewno się nie zgubisz.

Pomyślał z przekąsem, że właśnie idąc za nią znalazł się w głupiej sytuacji, natomiast to drugie nie miało już chyba znaczenia. Prawdopodobnie już był zgubiony.

Zniknęła za opalizującą kotarą. Pośpieszył jej śladem i wszedł na zaplecze równie zapchane kostiumami i maskami, co główna część sklepu.

- Co robisz z całym tym kramem po karnawale - zapytał z ciekawością.

- Och, to nie jest sezonowy interes. W okresie Święta Dziękczynienia dużym powodzeniem cieszą się kostiumy pielgrzymów; na Boże Narodzenie w modzie są ubiory z epoki

króla Edwarda. Przez cały rok zamawiają u mnie kostiumy teatry z czterech stanów.

A poza tym są jeszcze magicy, którzy zaopatrują się u mnie w rekwizyty potrzebne do pracy.

- Wczoraj chyba miałem do czynienia z twoją magią - roześmiał się Noah. - Wyciągnąłem z cylindra królika, a pałeczka zmieniła się w bukiet kwiatów.

- Trzymam te rzeczy dla dzieci - uśmiechnęła się szeroko.
- Zawsze podskakują z wrażenia.

- Ja też podskoczyłem - powiedział kwaśno, przypominając sobie, jak przeraziło go to miasto, ten sklep i ona sama.

Wszystko bez wyjątku ma swoje logiczne wyjaśnienie, musi mieć logiczne wyjaśnienie. Postanowił trzymać się tego twierdzenia.

Weszli po schodach do wielkiego pokoju, który zajmował całe piętro. Pomyślał, że nie ma nic dziwnego w tym, że mieszka w jednym dużym pokoju. Paru jego przyjaciół w Nowym Jorku mieszkało na strychach. A poza tym stwierdził z ulgą, że pokój urządzony jest normalnie. Antyczne ciemne meble miały obicia z purpurowego materiału w kwiecisty deseń. Mroczny wystrój pokoju rozjaśniały okna na wszystkich czterech ścianach oraz dobrze już mu teraz znana, lekka, opalizująca tkanina pokrywająca ściany i wielkie łóżko.

Łóżko. No, tak. Łóżko zwisało z sufitu na czterech grubych, mosiężnych łańcuchach.

Obrócił się do niej z pytaniem, które zamarło mu na ustach. Na ramieniu Rhiannon siedziała niewielka sowa.

- To jest Merlin - powiedziała, jakby przedstawiała swojego przyjaciela.

- Skąd się tu wzięła?

Roześmiała się, słysząc napięcie w jego głosie.

- Przyfrunęła rzecz jasna. Lot sowy jest prawie bezgłówny.

- Ale co ona robi tutaj, w twoim domu?

- Mieszka ze mną i z Graymalkinem. Znalazłam ją na ziemi za stodołą u mojej babki. Miała parę dni; nie trafiłam ani na matkę, ani na ślad gniazda.

- I nie wydaje ci się to dziwne?

- Widać, że jesteś mieszcuchem. Niestety takie rzeczy często się zdarzają i wcale się nad tym nie zastanawiałam. Była małym bezradnym stworzeniem, które potrzebowało pomocy, więc zajęłam się nią.

Sowa i kobieta wymieniły długie spojrzenie, po czym ptak musnął dziobem jej policzek. Zdaniem Noaha wyglądało to jak najprawdziwszy pocałunek.

- No, fruwej Merlin - powiedziała cichutko. Ptak poderwał się do lotu i kilka sekund później wylądował na szafie w kącie sypialnym. Nie mógł się z tym pogodzić.

- Podobno Rhiannon miała trzy czarodziejskie ptaki, które mogły uśpić człowieka na śmierć, obudzić umarłego i ukoić wszelki smutek i cierpienie.

Rhiannon przechyliła głowę i przyglądała mu się w zamyśleniu.

- Tak, chyba masz rację. Siądź, proszę. Zrobię kawę.

Pomyślał, że w końcu wielu ludzi trzyma w domu zwierzęta. Ona ma kota i sowę. Opadł na najbliższy fotel.

- A co Graymalkin sądzi o Merlinie?

- Bardzo się lubią - powiedziała z kuchni, gdzie ustawiła na tacy cukiernicę, dzbanuszek ze śmietaną i dwie filiżanki kawy.

Noah poczuł zabawne łaskotanie wzdłuż kręgosłupa. Przecież koty są naturalnymi wrogami ptaków.

- Mogłabyś to wytłumaczyć?

Kiedy szła ku niemu przez pokój, widział jej długie zgrabne nogi ukazujące się w rozcięciu kimona. Postawiła tacę na starym pniu służącym za stół i usiadła obok.

- Na wszystko musisz mieć wytłumaczenie?
- Tak, i to najlepiej sensowne. Zatrzymała na nim rozbawione spojrzenie.

- Esmé i Lawinia miały rację. Jesteś bardzo sztywny. Rozluźnij się, nie bierz świata tak okropnie poważnie.

Nagle wyciągnęła rękę i przesunęła mu dłoń po policzku.

- Ogoliłeś się, prawda? Jesteś taki gładki. Prawdę mówiąc podobał mi się twój drapiący popołudniowy zarost.

- Rhiannon...

- Nie pytaj mnie, dlaczego cię dotknęłam - powiedziała kładąc palec na ustach. - Sam zgadnij. Teraz będziesz wiedział, czy chcesz, żebym cię jeszcze dotknęła, czy nie.

Mdliło go w dołku. Jasne, że chciał, żeby go dotknęła jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie, ani kroku dalej. Powinien się skupić na czymś innym, na czymś realnym i solidnym. Na przykład na jakimś problemie.

- Przyszedłem tu dzisiaj z pewnego powodu.

- Cokolwiek by to było, cieszę się, że jesteś. Był pewny, że ona jest czarownicą. Jak inaczej wytłumaczyć to, że jego mózg zmieniał się w miękką papkę.

- Wypij kawę - powiedziała.

Nie musiała go namawiać. Wrzucił do filiżanki trzy łyżeczki cukru i sporą porcję śmietanki. Wypił całą kawę duszkiem. Poczul się bardziej panem sytuacji, ale tak na wszelki wypadek wstał i odsunął się o parę kroków.

- Ciotki powiedziały mi, że twoja babka mieszka także po wschodniej stronie miasta, zaraz obok nich.

- Tak. Ich farmy sąsiadują ze sobą.

- Powiedziały mi, że ktoś oferuje bardzo wysoką cenę za grunty w tej okolicy; opowiedziały też w jaki sposób przekonano trzech właścicieli do podpisania kontraktu.

- Rzeczywiście. Zdarzyło się kilka dziwnych wypadków i doprawdy, sama nie wiem, co o tym sądzić.

Czuł się teraz trochę lepiej. Nareszcie przyznała, że zdarzają się dziwne rzeczy. Niepewność czyniła z niej istotę bardziej ludzką. Przetarł oczy. Oczywiście, że była istotą ludzką.

- Czy twoja babka dostała ofertę? Skinęła potakująco głową.

- I dlatego wysłałaś ją do Walii?

- Chciałam ją trzymać z daleka, zanim nie dowiem się, o co chodzi. Niestety, przez to zaduszkowe zamieszanie, nic do tej pory nie zrobiłam.

Zapominając, że powinien się trzymać z daleka, siadł koło niej, dokładnie na tym samym miejscu, z którego przed chwilą uciekł.

- Do niedzieli mam trochę czasu. Przed wyjazdem zamierzam się dowiedzieć, co się kryje za tymi ofertami. Myślałem, że będziesz mi mogła pomóc. Mieszkasz tutaj od dziecka?

- Nie. Kiedy byłam mała, mój ojciec służył w wojsku. Jeździliśmy po całym świecie, ciągle na walizkach. Tylko wakacje zawsze spędzałam tutaj, u babci. Kiedy skończyłam się uczyć, sama dużo podróżowałam, aż wreszcie zdecydowałam się zamieszkać w Hilary na stałe. Osoba ojca wydała się Noahowi interesująca.

- Czy twój ojciec nadal jest w wojsku?

- Nie, odszedł ze służby. Teraz pracuje w Pentagonie i razem z mamą mieszkają w Waszyngtonie.

Miała rodziców. Czy czarownice mają rodziców? Oczywiście, że tak. Lecz z całą pewnością Pentagon nie zezwoliłby na to, żeby ojciec czarownicy... Jeszcze trochę, a byłby to powiedział na głos. Nie, nie; trzeba z tym skończyć.

- A więc kiedy wróciłaś, kupiłaś sklep?

- Kupiłam dom i stworzyłam tu świat, o jakim zawsze marzyłam.

To co powiedziała, zaintrygowało Noaha. Z jej urodą mogła bez trudu zrobić wielką karierę. Dużo podróżowała i mógł się założyć, że wszędzie gdzie się pojawiła, budziła pożądanie mężczyzn. A jednak w końcu osiadła w małej prowincjonalnej dziurze. Jej pewność siebie dowodziła, że tak właśnie chciała. Jej spokój dowodził, że jest zadowolona z wyboru. Nie mógł tego zrozumieć.

- Co ty tu robisz?

- Robię dokładnie to, co lubię - powiedziała z uśmiechem.

- Spędzam dużo czasu z babcią, prowadzę sklep, pracuję ochotniczo w szpitalu. Jeśli się lubi życie, to zawsze ma się masę roboty.

Mówiła to z całkowitym przekonaniem. Nie mógł się dopatrzeć w jej oczach śladu nieszczerości czy rozczarowania, mimo to nie mógł rozgryźć tej tajemnicy.

- Nie tędy droga - wymamrotał do siebie, a potem powiedział głośno: - Staralem się zorientować, jak dobrze znasz to miasteczko i ludzi.

- Wszystkich znam bardzo dobrze, ale nie mam pojęcia, co się dzieje.

Niespodziewanie położyła dłoń na jego ręce.

- Jadę dzisiaj do domu mojej babki, żeby się rozejrzeć. Chcesz ze mną pojechać? Wczoraj wieczorem chyba niewiele zdziałałeś. Może razem udałoby nam się coś wymyślić?

Spojrzał w dół na swoją rękę. Rano podwinął rękawy koszuli. Cofając dłoń, Rhiannon przesunęła palcami po gołej skórze, zostawiając piekący ślad.

- No jak - zapytała miękko.

- Myślę, że to dobry pomysł. Chciał wyjść, ale go zatrzymała.

- Zostań tutaj, zaraz wracam.

Podeszła do szafy, otworzyła drzwi, wyjęła czarne dżinsy i czarny sweter i zniknęła za parawanem.

Noah wpatrywał się w otwarte drzwi szafy. Wszystko w niej było czarne. Ze szczytu sowa patrzyła na niego nieruchomym przenikliwym wzrokiem.

Prosty wiejski dom otoczony białym płotem wyglądał bardzo zwyczajnie. Za płotem rozciągały się pola. Tu i ówdzie leżała jeszcze, nie zebrana od żniw słoma przeznaczona do zaorania.

- Mój dziadek prowadził tę farmę przez wiele lat - powiedziała Rhiannon podchodząc do furtki. - Teraz babcia ją dzierżawi.

Patrzył na las, na odległy zarys gór i słoneczne refleksy na powierzchni stawu. Ta ziemia była właściwie zagospodarowana, ktoś jednak chciał coś tu zmienić, tylko co i w jakim celu? A może...

- Czy prowadzono tu badania geologiczne?

- Nie jestem pewna. W Wirginii są złoża węgla, ale w tym rejonie nie ma żadnych kopalń.

- Mimo wszystko trzeba to sprawdzić. Musi istnieć jakaś dokumentacja.

- Z całą pewnością, ale wszystkie biura i urzędy będą zamknięte do wtorku.

- Zamknięte. Dlaczego? Dopiero jest piątek!

- W Hilary zaduszki trwają od godziny piątej w czwartek do północy w poniedziałek.

- Nigdy nie spotkałem podobnego szaleństwa!

- Czyżby? - spytała z przekąsem. - A podobno mieszkasz w Nowym Jorku.

- Szaleństwa w Nowym Jorku mają swój głęboki sens.

- Dla ciebie wszystko musi mieć sens - uśmiechnęła się ironicznie. - Rozumiem.

Wzięła go za rękę i poszli przez łąkę pokrytą jeszcze gęstą trawą. Pomyślał, że dziwnie chętnie go dotyka. Zarejestrował ostrzegawczą falę ciepła rozchodzącą się po żyłach. Nie był pewny, jak właściwie powinien potraktować swoją reakcję na Rhiannon. Stosunki z kobietami nigdy nie sprawiały mu kłopotu; były normalne. To co odczuwał wobec Rhiannon, wykraczało zdecydowanie poza granice normalności i kwalifikowało się do określenia jako stan bardzo wyjątkowy.

Powietrze było rześkie i przejrzyste. Nieliczne już liście na drzewach mieniły się złotem i czerwienią. Na ich drodze, nie wiadomo skąd, pojawił się królik. Spojrzał na Rhiannon, uśmiechnął się i pokicał dalej.

Noah stanowczo nie życzył sobie żadnych uśmiechających się królików.

- Twoje odwiedziny bardzo wiele znaczą dla Esme i Lawinii - odezwała się Rhiannon. - Dlaczego nigdy przedtem nie przyjeżdżałeś?

- Tak się składało. Kiedy byłem młodszy, ciotki odwiedzały nas co roku w Nowym Jorku. Czasem przyjeżdżała tu moja matka, ja byłem wówczas na ogół w szkole albo na wakacjach, na obozie.

- Dla mnie Hilary było zawsze lepsze niż jakikolwiek obóz. Dawało mi poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji, której tak bardzo potrzebowałam. Zawsze wiedziałam, że spotkam tu starych znajomych.

Promienie słońca kładły na jej włosy błyszczące pasemka i nadawały jasnej cerze ciepły, złocisty odcień.

- Teraz żałuję, że nie przyjeżdżałem - powiedział stłumionym głosem. - Mogliśmy się wcześniej poznać.

- Na pewno - potwierdziła poważnie i z przekonaniem.

Potknął się. Zacisnęła mocniej rękę na jego ramieniu pomagając mu złapać równowagę. Z trudem przywołał myśli do porządku i kontynuował:

- Potem zacząłem studia i już na nic nie miałem czasu.
- Teraz, kiedy poznałeś Hilary, nie będziesz chciał stąd wyjechać - powiedziała. - Na całym świecie nie znajdziesz równie wspaniałego miejsca.
- Zdecydowanie jesteś czarownicą - zatrzymał się w pół kroku, bo to co usłyszał, zabrzmiało zupełnie jak zaklęcie.
- Gdybym była czarownicą - odparła miękko - to sprawiłabym, żebyś mnie teraz pocałował. Na przykład objęłabym cię... o tak...

Serce mu prawie zamarło, kiedy przysunęła się bliżej i zarzuciła mu ręce na szyję.

- ...i przytuliłabym się do ciebie, na przykład... tak.

Poczuł gorący płomień w żołądku, przesuwany się w dół w bolesnym pożądaniu.

- Potem wsunęłabym palce w twoje włosy, żeby zmusić cię do schylenia głowy... o tak. I podniosłabym do ciebie usta tak, bym mogła czuć twój oddech, a ty mój...

Chociaż mówiła szeptem, każde słowo wywoływało eksplozję w jego mózgu.

- A potem czekałabym, w nadziei że... Przywarł do jej ust czując, że traci rozum. To były czary - nie miał żadnych wątpliwości. Nie lubił tracić kontroli nad biegiem rzeczy, ale jej usta były takie miękkie i uległe... Przez krótką chwilę pozwolił, by pożądanie zwyciężyło nad chęcią zrozumienia, skąd bierze się jej moc nad nim. Odchylił jej głowę, żeby pogłębić pocałunek. Kiedy ich języki spotkały się ze sobą, wstrząsnęło nim pragnienie.

Pociągnął ją w dół, na zasłaną liśćmi murawę.

Pod działaniem cudownie przygniatającego ciężaru jego ciała bezwiednie rozłożyła nogi, żeby mógł się ułożyć między jej udami. Płomienny pocałunek Noaha zupełnie ją rozbroił. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie zbudził w niej tak gwałtownego pragnienia, wiedziała więc, że z Noahem będzie

inaczej. Jego pocałunki i pieszczoty były dokładnie takie, jak chciała. Nie miała nawet siły złapać oddechu ani powstrzymać wdzierającego się w nią ognia. Czowała jedynie intymny ucisk twardej krawędzi pożądania między nogami.

Noah wsunął rękę pod czarny sweter i przykrył dłonią gołą pierś. Kiedy natrafił kciukiem na szczyt sutka, Rhiannon wygięła się ku niemu z westchnieniem.

- Miło się przekonać, że te rzeczy działają na czarownice
- zamruczał obsypując jej twarz pocałunkami.

- Jestem zwykłą kobietą. Podniósł głowę i popatrzył na nią.

- Nie jesteś zwykłą kobietą. Jesteś lepsza niż wszystkie, jakie znałem. Chcę cię bardziej niż jakąkolwiek inną.

- To dobrze - wyszeptała poruszając niespokojnie biodrami. - O to mi właśnie chodziło.

Noah znieruchomiał. Otrzeźwienie przyszło w samą porę. Na moment dał się wciągnąć w szaleńczy wir, gdzie ktoś inny, nie on sam, decydował o jego losie. To niemiłe uczucie towarzyszyło mu od poprzedniego dnia. Nie chciał, lecz nie mógł się powstrzymać. Pochwycił w palce brodawkę sutka i tarmosił ją, póki Rhiannon nie krzyknęła z bólu.

- Zaczarowałaś mnie od razu na początku, prawda? Dobrze wiedziałaś, co robisz.

- Nie całkiem - powiedziała, prawie nie słysząc swoich słów.

Podniecenie nie pozwalało jej jasno myśleć.

- Nikt mną nie będzie manipulował, słyszysz mnie Rhiannon. Nikt - nawet czarownica.

Ciągle jeszcze leżał na niej, pieścił i ugniatał jej pierś, lecz poprzez mgłę uniesienia i namiętności poczuła, że Noah zaczyna się oddalać. Wzięła jego twarz w dłonie próbując go przyciągnąć z powrotem.

- Nie manipuluję tobą, Noah. Od samego początku coś było między nami. Nie czułeś tego wczoraj przy naszym spotkaniu?

- O Boże, chyba tak - mocniej przywarł do niej biodrami.

Powoli zmieniał zdanie. Rozum usypiał. Nagle poczuł czyjąś obecność. Podniósł wzrok i zobaczył Graymalkina. Siedział bez ruchu na najniższej gałęzi tuż obok dębu. Wyglądał niczym przyrośnięty do drzewa.

To ostudziło zapal Noaha. Ogarnęło go dziwnie krępujące uczucie.

- Co się stało? - zapytała bezgłośnie.

- Twój kot jest tutaj. Odwróciła głowę i szepnęła:

- Graymalkin.

Kot zeskoczył z drzewa i przydreptał do nich, zupełnie jakby usłyszał swoje imię. Noah wstał i przetarł oczy.

- Trzeba go odwieźć do domu, czy polecą na nietoperzu?

Rhiannon podniosła się obciągając sweter. Głaszcząc kota, który ocierał się o nią mruczając łagodnie, przyglądała się Noahowi spod przymkniętych powiek. Był teraz wściekły i zmieszany, bo wiedział, że nie panuje nad sytuacją.

Każde z nich inaczej zareagowało na gwałtowną wzajemną siłę przyciągania. On usiłował zrozumieć. Ona wręcz odwrotnie, bez oporów i podejrzeń przyjęła dar losu. On, przestraszony chciał uporządkować sprawy.

Współczuła mu i chętnie by mu pomogła, lecz dobrze wiedziała, że będzie musiał sam się z sobą uporać.

- Graymalkin może wrócić razem z nami - odrzekła.

Rozdział 3

Wczesnym sobotnim popołudniem Noah przyglądał się okrągłymi ze zdumienia oczami kolorowym scenom, jakie rozgrywały się na skwerze w samym środku miasta. Nie miał najmniejszej ochoty na zabawę. Niestety, po bezowocnych próbach złapania przez telefon burmistrza i kogokolwiek z władz miejskich, doszedł do przykrego wniosku, że jest to jedyna szansa na rozmowę z kimś zbliżonym do kół urzędowych Hilary.

Nieopodał sunął na koniu Jeździec bez Głowy. Zanim zrównał się z nimi, ukłonił się górną częścią bezgłowego tułowia, na co Esme i Lawinia zareagowały pensjonarskim chichotem. O ile wiedział, jego ciotki nigdy nie grzeszyły przesadną powagą - i wcale nie chciał, by było inaczej - ale dzisiaj przechodziły same siebie, wyraźnie uszczęśliwione jego towarzystwem. Postanowił, że dla nich wytrzyma przez parę godzin w tym domu wariatów.

Postanowił również nie wnikać w ukryty sens kostiumów ciotek. Ubrane w długie suknie z epoki królowej Wiktorii odgrywały siostry Lizzie i Emmę Borden. Esme jako Lizzie trzymała w ręku siekierę, zaś Lawinia, jako Emma, paradowała z aureolą nad głową.

Torując sobie drogę wśród barwnego tłumu widział tu i ówdzie dzieci łowiące jabłka - znana karnawałowa zabawa. Zanotował też inne nieco mniej typowe obrazki, jak parada jednoroźców, w której dzieci prezentowały się na kucykach z wielkimi pojedynczymi rogami przytwierdzonymi pośrodku łba. Nie na żarty zaniepokoiła go wystawa szkolnego kółka przyrodniczego, na której można było podziwiać dużą kolekcję spreparowanych, miniaturowych ludzkich głów. Kiedy przypomniał sobie o ciotkach, spostrzegł, że Lawinia popłynęła gdzieś z tłumem i tylko Esme ze swoją siekierą została przy nim.

Minęła go Czarownica ubrana na czarno, w wysokim spiczastym kapeluszu i wielką włochatą brodawką koło krogulczego nosa. W duchu musiał przyznać, że robiła pozytywne wrażenie. To była porządna wiedźma. Jej wygląd mówił sam za siebie i człowiek miał się na baczności. Nie tak jak pewna seksowna, błękitnooka blond czarownica, co to obezwładnia podstępnie swą ofiarę.

Rzucił okiem na dom Rhiannon. Śladu żywej duszy, nawet w postaci czarnego kota. Noah pomyślał ponuro, że prawdopodobnie razem ze swoimi sługami zbiera skrzydła nietoperzy i oczy jaszczurek na czarodziejskie mikstury. Powiódł wzrokiem po skwerze i zatrzymał się na granitowym pomniku konia. Do osadzonych w strzemionach wojskowych butów z cholewami dzieci wsadzały kwiaty. Coś go w tym koniu zastanawiało, ale w końcu wszystko inne w tym miasteczku także było zastanawiające. Ciekawe, gdzie ona się podziewa?

- Czy Rhiannon przychodzi zwykle na karnawał?

- Oczywiście, kochanie. Wszyscy tu są - Esme uśmiechnęła się radośnie do spieszącego gdzieś Czerwonego Kapturka.

- Miło, że jesteś z nami, Noah - powiedział Czerwony Kapturek i oddalił się w podskokach.

Noah ruszył ostro do przodu. Bardzo go denerwowało to, że zupełnie nieznanymi ludziami zwracali się do niego po imieniu.

- Czy zauważyłaś ciociu, że Rhiannon zawsze ubiera się na czarno?

- Wiesz, nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale chyba masz rację. Bardzo jej w czarnym do twarzy, nie uważasz? Nie każdy może się ubierać na czarno. Ja w każdym razie na pewno nie, co się zaś tyczy Lawinii, to w czarnym wygląda tak, jakby w nagrodę miała umrzeć. Och kochanie, jest tutaj!

- Rhiannon? - Noah podskoczył.
- Nie mój drogi. Lawinia. Jest z Dolores Whitfield. Pójdę do nich zobaczyć, kto wygrał konkurs na placek z dyni.
- Poczekaj. Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć burmistrza?
Esme rozejrzała się dookoła.
- Teraz go nie widzę, ale przed chwilą tędy przejeżdżał. To był ten bezgłowy jeździec. Na pewno go zauważysz, on nie ma...

- Głowy? Tak?

A czego innego mógłby się spodziewać. Wszyscy odstawili do kąta swoje codzienne troski oddając się niepohamowanemu szaleństwu. A w samym środku tego całego błazeństwa znajdowała się niesamowicie spokojna, nad wyraz czarująca kobieta imieniem Rhiannon. Cieszył się, że jej tu nie ma. Lepiej jej unikać.

Odwrócił się z mimowolnym grymasem na twarzy i napotkał parę nieskończenie głębokich, niebieskich oczu, w których odnalazł dobrze mu znany wyraz rozbawienia.

- Cześć Noah. Nie wyglądasz, jakbyś się dobrze bawił.

Pożerał ją wzrokiem. Blond włosy wiły się w perfekcyjnym nieładzie wokół pięknej twarzy. Niezwykłych rozmiarów szalowy kołnierz swetra zsuwał się z satynowego ramienia. Zamszowa spódnica z klinami oraz czarne botki na wysokich obcasach dopełniały stroju - całkowicie czarnego stroju.

Okiełznał wzburzone emocje i pracował nad nimi, dopóki nie zostały dokładnie uporządkowane i opanowane.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z paroma osobami, a nie dla zabawy.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu. Nie powiesz chyba, że nie potrafisz robić dwóch rzeczy naraz? - spytała z autentyczną ciekawością.

Noah zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Czy twoja służba myszkuje tu gdzieś?
- Co powiedziałeś?
- Nieważne. Ciotki pokazały mi list od adwokata Clifforda Montgomery. Dzwoniłem do niego do biura, ale nikt nie odpowiadał. Widziałeś go tutaj?
- Nie sądzę. Nie widziałam go od paru dni. Pojechał do Raleigh odwiedzić matkę.
- Przepuścił taką okazję - wspaniały zaduszkowy weekend?
- Jego matka jest chora - wyjaśniła Rhiannon, zdumiona sarkastyczną uwagą.
Nie mógł pozwolić, by ostatnie słowo należało do niej.
- No cóż, to bardzo poręczna wymówka.
- Myślę, że jego matka byłaby innego zdania. Mogę cię jednak zapewnić, że gdyby Clifford wiedział, że czyhasz tutaj na niego, to przedłużyłby swoją wizytę. Jest tylko prowincjonalnym adwokatem, nie mógłby się z tobą mierzyć.
- Całkiem sensowna uwaga, to jest naprawdę straszna prowincja - odparł Noah rozglądając się wokół z niesmakiem.
- Dlaczego jesteś taki wściekły?
- Właśnie usiłowałem zrozumieć - powiedział stwierdziwszy, że zadała cholernie dobre pytanie. - Jak to możliwe, że wszyscy w tej dziurze potrafią odstawić na bok rzeczywistość na całe cztery dni.
- A co w tym złego? Większość ludzi dużo by dała, żeby zapomnieć o rzeczywistości choćby na parę godzin. W Hilary mamy to szczęście, że możemy sobie pozwolić na całe cztery dni zapomnienia.
- Dobrze, dobrze. Poddaję się. Nie ma sensu dyskutować z tobą na temat tego miasta. Ty mieszkasz tutaj i jesteś częścią tego szaleństwa - powiedział pojednawczo, dodając w myśli, że wszystkie znaki wskazują, że to ona jest główną przyczyną

wszelkiego zamieszania. - Ilu ludzi zajmuje się w Hilary handlem nieruchomościami?

Bez oporu przystała na zmianę tematu.

- Niewielu. Dwóch, o ile mi wiadomo. Jeden z nich jest tam - skinęła głową w kierunku Drakuli, który zabawiał się sprzedawaniem krwistoczerwonego ponczu w papierowych kubeczkach.

- Porozmawiamy z nim? - zapytał. Przytaknęła. Powiedział: porozmawiamy. Mógł przecież odejść i zostawić ją samą, a jednak uwzględnił ją w swoich planach. Na razie była zadowolona.

Gdy podeszli, Drakula uśmiechnął się do nich uśmiechem pełnym zębów. - Cześć Rhiannon, gdzie twój kostium?

- Ona nie potrzebuje kostiumu - powiedział Noah. - Nosi go cały czas.

Drakula spojrział zdziwiony na Noaha.

- Martin Richardson, Noah Braxton - przedstawiła ich sobie Rhiannon. - Martin, może szklaneczka twojego ponczu poprawi mu humor. Ja płacę. Muszę coś z nim zrobić.

- Służę uprzejmie.

- Cześć Rhiannon, cześć Noah - zawołały dwa domina przechodzące w pobliżu.

- Cześć chłopcy - krzyknęła za nimi Rhiannon.

- A więc ty jesteś siostrzeńcem Esme i Lawinii? - zapytał Martin podając Noahowi kubek z ponczem.

- Tak. A ty, jak rozumiem, prowadzisz biuro handlu nieruchomościami.

- Jedno z dwóch najlepszych w mieście - odparł Drakula, po czym roześmiał się serdecznie z własnego dowcipu.

Noah odczekał uprzejmie, aż skończy.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o twoich interesach.

Martin wyglądał na zaskoczonego.

- Chcesz mówić o interesach? Teraz? - popatrzył pytająco na Rhiannon.

- Co chcesz. On nie jest stąd. - Rhiannon wzruszyła ramionami.

- Z Nowego Jorku, o ile słyszałem - Martin pokiwał współczująco głową. - Chcesz tu zamieszkać - zwrócił się do Noaha. - Jeśli tak, mogę ci pokazać świetną posiadłość, prawdziwa okazja.

- My tutaj jesteśmy dla niego zbyt dziwacznymi - powiedziała Rhiannon.

- Dziwacznymi? - Martin podniósł oczy ku górze. - Boże, miej nas w swojej opiece i was tam w Nowym Jorku też.

Noah postanowił zignorować chichot Rhiannon.

- Naprawdę jestem zainteresowany kupnem ziemi w tej okolicy - jej zdumiona mina zachęciła go do dalszych wynurzeń:

- Może zamieszkać, może zainwestuję. A więc...

- Gotowe - powiedział Martin hojnie napełniwszy kubek dla małego elfa. - Chętnie odpowiem na każde pytanie, o ile będę potrafił.

- Słyszałem, że ostatnio wartość pewnych działek wzrosła niespodziewanie. Domyślasz się może dlaczego?

Martin zazgrzytał sztuczną szczęką, a następnie przygryzł długimi kłami dolną wargę w geście mającym świadczyć o głębokim zamyśleniu.

- Może - odezwał się po chwili - ludzie odkryli to, o czym my wiemy od dawna, to że Hilary jest rajem na ziemi.

- Rajem? - Noah już miał na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, ale jedno spojrzenie na Rhiannon sprawiło, że zmienił zdanie.

- Czy ktoś podejrzany nie interesował się nieruchomościami we wschodniej okolicy miasta?

- Nie. Prawdę mówiąc interesy kiepsko teraz idą. Porozmawiaj z Luellą Gibson, ona prowadzi tę drugą agencję. Jak poncz?

- Co?

- Jak ci smakuje poncz? Sam go co roku robię.

- I co roku z innych składników - dodała Rhiannon.

Noah pociągnął łyżeczek na próbę.

- Bardzo dobry - wypowiedział oczekiwane słowa.

Martin Richardson uśmiechnął się tak szeroko, że jego białe, wampirzy makijaż zaczął pękać.

- Może jeszcze kapeczkę?

- Nie. Bardzo dziękuję. Poszukam Luelli Gibson - popatrzył w tłum kolorowych dziwołagów. - Gdybym jej nie znalazł, a ty byś przypadkiem natknął się na nią, to poproś, by zadzwoniła do mnie do ciotek jeszcze dzisiaj wieczorem albo jutro rano. Chcę wyjechać przed południem.

- Przed południem? Chyba żartujesz!

- Niby dlaczego?

- Posłuchaj, na twoim miejscu poważnie bym się zastanowił, czy nie poczekać do wtorku rano. W poniedziałek w nocy powinna się spełnić nasza legenda. Chyba nie chciałbyś tego stracić?

- Jaka znowu legenda?

- Nasza. Miejskowa. W każdym razie Luellę poznasz z daleka. Włosy stoją jej dęba, jakby dopiero co wsadziła palce do kontaktu. I myślę nawet, że właśnie tak zrobiła - zarechotał Drakula wielce rozbawiony swym pomysłem.

Do straganu podeszła Kreatura z Czarnego Jeziora, mokra, oślizgła i chlupocząca. - Duży poncz, poproszę.

Rhiannon chwyciła Noaha za rękę i odciągnęła w mniej upiorne miejsce.

Pomyślał, że trochę przesadza z tym dotykaniami. Miał szczerzy zamiar trzymać się na dystans, ale ona była taka

fascynująca, a całe otoczenie tak absurdalne, że czuł, jak jego stanowczość się ulatnia.

Tuż obok dawał przedstawienie prestidigitator. Nieco dalej właściciel sklepu żelaznego „Wirginia” polewał keczupem wielką piłę tarczową. Żywy obraz nosił tytuł „Piła Wirginia Krwawą Mary”.

W innym miejscu spokojni obywatele Hilary mogli sobie porzucać kamieniami oraz wepchnąć szefa policji do kotła z wrzącym olejem. Jeszcze inna zabawa polegała na „gilotynowaniu” dyrektora szkoły.

- Wskaźnik normalności w tym mieście jest zatrważający
- jęknął cicho.

- Nic nie rozumiesz, bo nie jesteś stąd, a to naprawdę przemile miejsce. Och, spójrz, tam sprzedają niewidzialne zwierzaki. - Pociągnęła go w kierunku straganu, gdzie wśród stosów kolorowych pudełek królował włochaty Wilkołak.

- Po ile? - zapytała.

Wilkołak zawył przeciągle i powiedział:

- Po dolarze.

- Wezmę jednego.

- Poczekaj - powstrzymał ją Noah, otwierając jedno z pudełek. - Przecież tutaj nic nie ma.

- Oczywiście, że nie - rzekł Wilkołak. - To są niewidzialne zwierzaki, na dodatek są bardzo ciche.

- Będzie doskonałym kompanem dla Graymalkina i Merlina - stwierdziła Rhiannon. - Biorę go.

- Świetny zakup - skłonił się Wilkołak. Jedzą tyle, co nic.

Widząc, że Rhiannon wyciąga portmonetkę, Noah zaprotestował.

- Ja płacę.

- Och, ale...

- Bardzo cię proszę. Będę szczęśliwy, jeśli w twoim domu zamieszka choć jedno stworzenie, które nie będzie mnie przyprawiało o gęsią skórę.

- Dziękuję. Wiesz, to na bardzo szlachetny cel. Wszystkie pieniądze zebrane podczas karnawału pójdą na zakup nowych mundurów dla orkiestry szkolnej.

Wilkołak zaskowyczał przeraźliwie. - Kto następny?

Poszli dalej trzymając się za ręce. Minęli paluszkowy kiosk spożywczy, w którym wszystkie produkty wyglądały jak prawdziwe palce.

- Obrzydliwość. Chyba długo nic nie przełknę - skrzywił się.

- To tylko spaghetti - roześmiała się Rhiannon.

- Tak, ale wygląda jak...

- Teraz tak wygląda. To siła sugestii.

- A więc to ma tłumaczyć to wszystko? - zatoczył ręką dookoła.

Szarpnęła go tak mocno, że zachwiał się i wpadł na nią.

- Noah przestań. Zachowujesz się jak nadęty adwokat z Nowego Jorku.

Obezwładniający zapach kwiatów zdawał się go przykuwać do Rhiannon. Musiał zebrać wszystkie siły, żeby się odsunąć.

- Nikt mi wcześniej nie mówił, że jestem nadęty.

- Zupełnie nie pojmuję dlaczego - w egzotycznych oczach zapaliły się wesołe iskierki.

- Boże drogi, ty jesteś czarownicą - uśmiechnął się nieszczерze.

- Masz dziwne pomysły. Kiedy mnie znów pocałujesz?

Zrobiło mu się gorąco.

- A wiesz dlaczego uważam, że jesteś czarownicą? Bo nie pytasz, czy cię pocałuję, tylko kiedy to zrobię. Sama się zdradzasz Rhiannon.

- Ja też myślę, że wyrażam się jasno - roześmiała się znowu. - Trudno, mam mało czasu, żeby cię namówić do zostania.

- Na twoim miejscu nawet bym nie próbował. Uśmiechała się z taką pewnością siebie, że omal nie postradał zmysłów.

- Niestety, nie jestem tobą i spróbuję. Chodźmy do galerii potworów.

- Myślałem, że cały czas w niej jesteście - zauważył kwaśno.

- Możesz zostać na zabawie tak długo, jak zechcesz - powiedziała Esmé krojąc powietrze siekierą.

Poczuł, że Rhiannon przesunęła delikatnie dłonią po klapie marynarki.

- Zostań jeszcze trochę. Moglibyśmy pójść do mnie na kawę.

- Och, tak kochanie, idź, to świetny pomysł - zachęcała Lawinia kołysząc aureolą.

- Będziemy mieli okazję się pożegnać - dodała miękko Rhiannon.

Jej słowa sprowadziły go na ziemię. W ciągu ostatnich paru godzin pozwolił sobie na luksus cieszenia się absurdalną sytuacją i obecnością Rhiannon. Całkiem zapomniał, że jutro wraca do pracy.

Nie mógł się zdecydować, czy ucieczka od Rhiannon była aktem odwagi, czy też kompletną głupotą. W każdym razie wiedział, że nieprędko o niej zapomni. Ta urocza, tajemnicza i niezwykle zmysłowa kobieta na długo pozostanie w jego pamięci. Nic mu się nie stanie, jeśli spędzi z nią jeszcze parę minut.

- Na pewno nie sprawi wam to kłopotu? - spojrzał pytająco na obie ciotki.

- Załatwione - powiedziała Lawinia. - Zostajesz. Zobaczymy się, jak wrócisz do domu.

Esme i Lawinia, całe w uśmiechach, oddaliły się machając na pożegnanie.

- Niedługo wracam - zawołał za nimi Noah raczej po to, żeby sam siebie utwierdzić w swoim postanowieniu.

- Okropnie miłe staruszki - powiedziała Rhiannon. - Nie wstyd ci, że nie chcesz zostać?

Zrobiło się już zimno. Noah zdjął marynarkę i zarzucił ją Rhiannon na ramiona. Po raz pierwszy widział ją w czymś, co nie było czarne. Jasny kolor dziwnie kontrastował z jej cerą i złotymi włosami. Ruszyli przez skwer w kierunku sklepu.

- Nie mogę zostać dłużej - uśmiechnął się krzywo. - W Nowym Jorku Zaduszki nie są oficjalnym świętem.

- Naprawdę?

Nuta autentycznego zaskoczenia w jej głosie sprawiła, że uśmiechnął się pogodniej.

- Na moim biurku czeka cała sterta papierów. Poza tym doszedłem do wniosku, że w Nowym Jorku dowiem się znacznie szybciej o co chodzi w tej sprawie niż siedząc tutaj.

Wsunęła mu rękę pod ramię. - Jak zamierzasz to zrobić?

Dobrze się czuł idąc z nią pod ramię. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim ostatecznie odrzucił myśl o możliwości kapitulacji.

- Jak tylko wrócę, postawię jednego z moich ludzi przy komputerze, żeby sprawdził, kto się interesuje okolicami Hilary. Tu może wchodzić w grę coś takiego, jak budowa autostrady.

- Gdyby tak było i ktoś wcześniej by dysponował informacjami, to mógłby się pokusić o zrobienie dużych pieniędzy - pokiwała głową w zamyśleniu.

- Wiesz, za krótko tu jestem, nie zdążyłem poznać miasta, ale wydaje mi się, że mieszka tu sporo miłych ludzi.

- Masz rację. Ponadto są szczęśliwi i zadowoleni. Dlatego właśnie nie widzę, kto mógłby się kryć za tymi dziwnymi transakcjami.

- Prawdopodobnie znasz człowieka.

- Żaden z moich znajomych nie skrzywdziłby nikogo po to, żeby kupić ziemię - potrząsnęła przecząco głową.

- Rhiannon, nikt tu nie został skrzywdzony. Tylko jakiś pijaczyna najadł się strachu, co w rezultacie przedłuży mu życie o kilka lat.

- Czy zauważyłeś, że chociaż jesteś tu tak krótko, przestałeś już być taki sztywny?

- Jestem sceptyczny z natury i cyniczny ze względu na mój zawód i żadne dwa dni nic nie zmieniają.

- No, przyznaj się. Sądzę nawet, że się nieźle dzisiaj bawiłeś.

- Chyba tak. W pewien dziwaczny sposób.

- Dziwaczny nie znaczy koniecznie zły - powiedziała przechylając głowę, jak zwykle kiedy nad czymś rozmyślała.

- Oczywiście, że nie. To miasto z tego żyje.

- Mógłbyś zadzwonić do biura.

Stanął zaskoczony zmianą tematu. - Co?

- Żeby zrobić to, o czym mówiłeś, nie musisz jechać do Nowego Jorku. Możesz tu zostać i przekazać instrukcje przez telefon.

Przez moment gapił się na nią bezmyślnie. Urok i ciepło emanujące z jej oczu miały go zmusić do spełnienia życzenia. Jak to możliwe, że rzucała na niego czary tutaj, w biały dzień, w obecności tylu ludzi. I dlaczego do diabła pozwalała jej na to.

Wziął głęboki oddech usiłując zahamować przyływy pożądania. Kiedy już tego dokonał, pierwszą rzeczą na jaką spojrzął przytomnie był pomnik konia. Olśniony, nareszcie zrozumiał dlaczego ten cholerny koń od początku go denerwował.

- Na tym koniu nie ma jeźdźca!
- Rhiannon poszła za jego spojrzeniem. - Nie, nie ma.
- Są buty w strzemionach, a nie ma człowieka.
- Na Wielkanoc dzieci wsadzają do butów jajka.
- Nigdy nie widziałem pomnika samego konia.
- Mówiłam ci już, że Hilary jest wyjątkowym miejscem.
- Nic takiego nie powiedziałem.
- Nie, ale to właściwe określenie.
- Skoro jest koń, to powinien być i jeździec.
- I na ogół tak bywa - zgodziła się Rhiannon.
- Dlaczego jakieś miasto miałoby wystawić pomnik

koniowi?

- To wcale nie jest pomnik konia, tylko Johna Millera, jankeskiego żołnierza, który podczas wojny secesyjnej uratował nasze miasto. Pojawił się tutaj na krótko przed atakiem i ostrzegł ludzi, że generał dał rozkaz nie brania jeńców.

Spokojny i rzeczowy ton jej głosu doprowadzał go do furii.

- Dlaczego to zrobił?

- John pochodził z Baltimore, jeszcze przed wojną odwiedzał tu znajomych i zakochał się w dziewczynie z miasteczka, nazywała się Priscilla Davenport. Nie mógł znieść myśli, że jej i miastu grozi śmierć.

- Uroczą historią. Domyślam się, że miasto chciało uhonorować bohatera, ale dlaczego tylko koń, dlaczego nie bohater na koniu?

- Cóż, miasto było mu ogromnie wdzięczne, co nie zmieniało jednak faktu, że popierało Konfederację i tutejsi mieszkańcy nie wyobrażali sobie, by w samym środku miasta mógł stanąć pomnik Jankesa.

Powinien był się domyślić.

Kiedy ruszyli dalej i znów wzięła go za rękę, stwierdził, że nie robi to już na nim żadnego wrażenia.

- Twoje ciotki powiedziały mi, że zadajesz się wyłącznie z kobietami nastawionymi na karierę, takimi co to mają określony cel w życiu i wiedzą jak go osiągnąć - powiedziała, patrząc z ukosa.

Potknął się z wrażenia.

- A skąd u licha one o tym wiedzą?

- Bardzo często dyskutowały na ten temat z twoją matką.

Kolejna niespodzianka. Matka nigdy ani słowem nie zdradziła swojego zdania na temat jego przyjaciółek.

- Doskonale to do ciebie pasuje - dodała.

- Jesteś niesamowita - jęknął z rozpaczą. Stali właśnie przed sklepem i Rhiannon otwierała drzwi.

- Jestem jak najbardziej normalna - powiedziała przez ramię. - Trzymaj się mnie, a będę ci to mogła udowodnić.

Weszli do sklepu. Gdy tylko usłyszał odgłos zamykanych drzwi, ogarnęło go jednocześnie zakłopotanie i niewiarygodne podniecenie.

Przez lśniąca kotarę, która oddzielała sklep od pokoju na zapleczu, przenikało słabe światło lampy. W panującym mroku maski i kostiumy sprawiały jeszcze bardziej upiorne wrażenie niż za dnia. Musiał chyba kompletnie stracić rozum, żeby z własnej i nieprzymuszonej woli wejść tutaj z czarownicą.

Na górze Rhiannon nie mogła zebrać myśli. Z Merlinem na ramieniu nastawiała ekspres do kawy. Wzięła do ręki sznur, popatrzyła na kontakt i odłożyła sznur z powrotem. Nie miała ochoty robić kawy. Chciała być blisko Noaha, desperacko pragnęła nakłonić go do przedłużenia pobytu w Hilary.

- Zostało mi już niewiele czasu, bardzo niewiele - szepnęła. - Fruwaj Merlin.

Sowa pofrunęła na szafę. Noah obserwował jej lot z kanapy.

- Jest do ciebie bardzo przywiązany.

- Zastępuję mu rodzinę - powiedziała, sadowiac się obok niego. - Przez pierwszy tydzień, kiedy nie wiedziałam jeszcze, czy będzie żył, karmiłam go na siłę całą dobę na okrągło, mniej więcej co pół godziny. Byłam bardzo szczęśliwa, że udało mi się go uratować. Nie zamierzałam go oswoić. Sądziłam, że jak podrośnie i będzie mógł fruwać, to odleci. Ale on postanowił zostać ze mną. Zawsze wraca, nawet jeśli czasem się gdzieś zawieruszy.

Rozumiał sowę. Rhiannon posiadała magnetyczną moc przyciągającą wszelkie żywe istoty.

- Prawdę mówiąc do tej pory nie mieliśmy okazji poznać się bliżej - powiedziała miękko przesiadając się na pień, żeby móc patrzeć mu prosto w oczy.

- Też tak sędzę.

Sama myśl, że jakikolwiek mężczyzna mógłby poznać ją bliżej, przyprawiała o zawrót głowy i dreszcze. Pokusa, by przedrzeć się przez kolejne tajemnicze warstwy jej osobowości i zajrzeć do samego środka, nie dawała mu spokoju, wiedział jednak, że to nierealne i tak długo, jak o tym pamiętał, był bezpieczny.

Na kolana Rhiannon wskoczył Graymalkin. Przez chwilę drapała go za uszami, a potem łagodnie zrzuciła na podłogę. Kot bez protestu podreptał do frontowego okna i usadowił się w skrzynce pomiędzy kwiatami.

- Dasz mi znać, jak się dowiesz, co się kryje za tymi ofertami?

Skinął twierdząco głową.

- Nie potrzebujesz mojego adresu. Możesz przesłać informację dla Rhiannon w Hilary, Wirginia. Edwina już się tym zajmie.

Bezosobowe, korespondencyjne porozumiewanie się z Rhiannon wydało mu się czymś wysoce niewłaściwym. Cała ta rozmowa wydawała mu się niewłaściwa, musiał jednak pamiętać, że ma do czynienia z istotą nierealną i albo sam szybko wróci do rzeczywistości, albo ostatecznie postrada zmysły.

- Będę ci wdzięczny, jeśli wpadniesz do moich ciotek od czasu do czasu.

- Stale do nich zaglądam.

- Mimo wszystko dam ci mój numer w Nowym Jorku, na wypadek gdyby coś się stało i chciałabyś się ze mną skontaktować.

- Bardzo miło z twojej strony, ale wątpię, czy będę go potrzebowała.

Do licha, co się z nim działo, wcale nie miał ochoty wyjść. Merlin spoglądał nieruchomymi oczami ze szczytu szafy. Sowy zwiastują ponoć obecność tajemnych mocy. Rhiannon promieniowała magiczną mocą, a jego nikt nigdy nie uczył jak sobie radzić z czarodziejskimi sztuczkami i urokami.

W życiu prywatnym i zawodowym najbardziej sobie cenił umiejętność przewidywania. Długie godziny spędzane przy ciężkiej pracy dawały mu zadowolenie i spokój, nie było tam miejsca na żadne niejasności. Ani na niebieskie kocie oczy, które zdawały się zaglądać w głąb jego duszy.

- Pójdę już - powiedział wstając.

Skinęła ze zrozumieniem, wstała i wzięła go za rękę.

Jeszcze raz, ostatni raz będzie nad nim panowała. Odetchnął z ulgą. Za parę minut będzie wolny.

Na środku pokoju przystanął i brutalnie przyciągnął ją do siebie. Przeszył go dreszcz emocji; ich usta prawie się złączyły. Boże, dlaczego chciał od niej uciec. To było zauroczenie rozpalające każdą komórkę jego ciała.

- Wychodzę - zachrypiał tuż przy jej ustach.

- Nie zatrzymuję cię - odparła drżąc z podniecenia. Wbrew swoim słowom wczepiła się w niego z całej siły. Domagał się wyjaśnień, lecz ona nie miała żadnego wytłumaczenia.

Noah nigdy nie znajdował się w sytuacji, z którą nie umiałby sobie poradzić. Zawsze mocno trzymał cugle w ręku, teraz jednak zaledwie krok dzielił go od utraty kontroli nad sytuacją i nad sobą. Jeśli natychmiast się nie wyrwie, to już nie będzie miał siły.

Z trudem łapiąc powietrze w płuca oderwał ją od siebie. Błagalna prośba i pożądanie w jej oczach mogłyby złamać najobojętniejszego mężczyznę. Na pół oszalały uczeplił się resztek zdrowego rozsądku. Należał do ludzi, którzy planują z wyprzedzeniem, rozważają konsekwencje i wtedy dopiero decydują, co się opłaca. Niektórzy nazwaliby to wyrachowaniem, on nazywał instynktem samozachowawczym - zwłaszcza w tym konkretnym przypadku.

- Dobranoc, Rhiannon.

Późno w nocy Rhiannon siedziała na parapecie z Graymalkinem na kolanach.

- On nie może odjechać. Nie może - wyszeptała. Srebrna łza spłynęła po policzku Rhiannon i spadła na czarne, błyszczące futro kota.

Graymalkin przymrużył oczy i zwrócił głowę ku wschodowi.

Rozdział 4

Ze snu wytrąciło Noaha delikatne, krystaliczne dzwonięcie. Rozespany pomyślał, że już gdzieś słyszał ten dźwięk, ale przypomniawszy sobie jak kiepsko spał w nocy, postanowił, że zastanowi się nad tym później.

Dzwonięcie odezwało się znowu czysto i wyraźnie, miękko i melodyjnie, prawie jak kobiecy głos.

Noah podniósł powieki. Przywitał go widok Graymalkina, który siedział na parapecie za oknem prezentując w całej okazałości swoją zwykłą pewność siebie i królewską postawę czarnej puszystej postaci.

- Ty cholerny kocie - mruknął. - Wracaj do swojej pani i powiedz jej, że tym razem nic z tego.

Kot przymknął oczy, ale się nie ruszył.

Noah postanowił nie zwracać na niego uwagi. Wstał i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wrócił do pokoju, zauważył z zadowoleniem, że nie ma już kota za oknem. Grunt to skupić się na celu. To zawsze daje wyniki.

Szybko ubrał się i spakował. Potem zszedł na dół. W kuchni zamiast ciotek czekał na niego liścik: „Drogi Noahu, poszłyśmy do Kościoła, niedługo wracamy. Nie wyjeżdżaj przed naszym powrotem.”

Wspaniale. Wręcz wspaniale. A miał wyjechać z samego rana. Zagryzł wargę rozmyślając co robić. Śniadanie miał zamiar zjeść po drodze, skoro jednak musi czekać na ciotki, może w tym czasie coś zjeść.

Zrobił krok w kierunku lodówki i zamarł. Za oknem przycupnął Graymalkin. Noah złapał ścierkę i trzepnął w szybę.

- Wynoś się stąd. Wracaj do domu! Kot zeskoczył na ziemię i zniknął.

Noah wykonał kilka ćwiczeń usiłując rozluźnić mięśnie.

- Do diabła z tym kotem.

Przygotował sobie i zjadł porządne śniadanie.

Minęła godzina, dwie, a ciotki nie wracały. Zniecierpliwiony wyszedł na ganek. Zniecierpliwienie zmieniło się we wściekłość.

Na masce jego samochodu siedział w pozycji sfinksa Graymalkin - doskonale nieruchomy i nieskończenie cierpliwy.

Noah cofnął się do środka trzaskając drzwiami.

Graymalkin był czarownicą w kocim ciele. Innego wyjaśnienia nie było. Ten przeklęty kot wyraźnie na niego polował. Miał już tego dosyć.

Podjął błyskawicznie decyzję. Wkrótce potem wyszedł przed dom. W środku wszystko się w nim gotowało ze złości, na zewnątrz stanowił wzór opanowania.

Graymalkin obserwował zbliżającą się postać, żaden szczegół nie uszedł jego bladoniebieskim ślepiom.

Noah podszedł do samochodu i otworzył drzwi.

- No dobrze, kocie. Jedziemy.

Graymalkin z gracją zeskoczył na ziemię, podreptał wokół otwartych drzwi, wskoczył do środka i umościł sobie miejsce pośrodku tylnego siedzenia. Noah poczuł się jak szofer jaśnie pana.

Po kilku minutach jazdy zahamował z piskiem przed „Iluzjami”. Sięgnął do tyłu i złapał kota za kark. Ku jego zaskoczeniu Graymalkin nie stawiał oporu.

Znalazł Rhiannon w jej mieszkaniu nad sklepem. Siedziała w kuchni ubrana w czarne kimono.

Na widok Noaha uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Graymalkin znowu cię odwiedził?

Radosna mina Rhiannon nie wpływała kojąco na Noaha. Bezceremonialnie spuścił kota na podłogę. Graymalkin dał susa i wyskoczył przez tylne okno.

Noah zbladł. - Twój kot wyskoczył z pierwszego piętra.

- Tam jest drzewo. Skoczył na gałąź. Wszystko w porządku?

- Dobrze wiesz, że nie - powiedział, akcentując każde słowo. - Przysłałaś rano tę kreaturę po mnie.

- Noah, dobrze spałeś?

Przesunął ręką po karku. Stało się. Za długo tu siedział i zaczynał mięknać.

- Nie bardzo - odparł.

- Chcesz kawy?

- Chcę, żebyś mnie zostawiła w spokoju. Chciałbym się spokojnie wyspać i nie widzieć z rana twojego cholernego posłańca za oknem.

Podniosła filiżankę i wypła łyk kawy. - Nie widzę przeszkód, przecież zaraz wyjeżdżasz.

- Zgadza się. Chcę ci tylko coś powiedzieć - warknął wymierzając w nią palcem. - Jeśli zobaczę go gdzieś w Nowym Jorku, pożegna się z życiem.

Delikatnie ułamała kawałek grzanki. - Uważaj, żebyś nie zrobił krzywdy jakiemuś niewinnemu stworzeniu. W Nowym Jorku z pewnością jest mnóstwo czarnych kotów, identycznych jak Graymalkin.

- Rozpoznałbym go w ciemnej uliczce. Poznałbym go w tłumie pięćdziesięciu innych czarnych kotów.

- W tłumie, Noah?

- Żadym kot na świecie nie ma takich oczu.

- Prawda, że są niezwykle?

- Są dokładnie takie jak twoje.

- Noah, naprawdę nie chcesz kawy? - zapytała, wskazując na stół.

Noah spojrział i oblał się zimnym potem.

- Dlaczego nakryłaś na dwie osoby?

- Miałam nadzieję, że wpadniesz dzisiaj na śniadanie.

- Skąd to przypuszczenie, przecież pożegnaliśmy się wczoraj wieczorem.

Wzruszyła ramionami, a czarny jedwab rozchylił się na piersi.

- Mówię, że miałam nadzieję. Poza tym trochę pozytywnego myślenia nikomu nie zaszkodzi.

- I nakryłaś stół na dwoje - podsumował. - To nieprawdopodobne. Ty i ta twoja przeklęta miejscina.

Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzegł ból w jej oczach. Wstał i podszedł bliżej, chociaż wiedział, że źle robi.

Rhiannon oparła się na kuchence całym swoim ciężarem. Nieraz już cierpiała, nigdy jednak nie czuła się tak bezbronna i słaba jak w tym momencie. Noah nie chciał mieć nic wspólnego z nią ani z miejscem, które tak kochała. Nie był w stanie zrozumieć pogodnej swobody Hilary i tego szczególnego poczucia wolności, jakim obdarzało swoich mieszkańców. Nie docierało do niego, jak bardzo w rzeczywistości do siebie pasują.

- Od kiedy tu przyjechałem, ciągle się mnie do czegoś zmusza - kontynuował.

Rhiannon wyprostowała się i zapaliła gaz pod maszynką do kawy.

- Tak, musiałeś się strasznie męczyć - powiedziała cicho, odwrócona do niego plecami. - Pewnie czułeś się okropnie, kiedy na zabawie śmiałeś się na całe gardło, a całowanie mnie musiało być jeszcze straszniejsze...

- Do licha Rhiannon, wiesz, że to nie prawda, ale... - oddychał z trudem. - Rhiannon, odwróć się i spójrz na mnie.

Zgasiła gaz. Mijając go rzuciła mu spojrzenie przez ramię i podeszła do szafy.

- Nie chcę, żebyś się usprawiedliwiał. Nie ma powodu - powiedziała wyjmując czarne dżinsy i duży czarny golf.

Zniknęła za parawanem.

Noah westchnął zniechęcony jak ktoś, komu złota rybka wymknęła się z rąk.

- Postaraj się zrozumieć. Dwa dni temu przyjechałem do miasta, gdzie ludzie najwyraźniej cierpią na poważne zaburzenia umysłowe. Kot przyprowadza mnie do sklepu pełnego zasadzek. Kot nie tylko mnie okrada, ale jeszcze nie daje mi chwili spokoju. I do tego wszystkiego ty. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Wynurzyła się zza parawanu, przyglądając mu się chłodno.

- Może tak. I może właśnie dlatego tak się irytujesz. Z drugiej strony może powinieneś się zastanowić, czy nie wynika to stąd, że się tobie podobam. W każdym razie to nie moja wina.

- Czyżby?

Oboje zamilkli. W ciągu paru sekund wyrósł między nimi mur nie do przebycia.

- Życzę ci miłej podróży - przerwała ciszę Rhiannon.

Chciała go wyminąć, ale pochwycił ją mocno za ramię.

- Dokąd idziesz?

- Muszę iść do szkoły. Po południu jest mecz baseballowy.

- Jaki mecz?

Nie obchodził go żaden głupi mecz. Chciał po prostu zatrzymać ją przy sobie jeszcze trochę - co było oczywiście szalonym pomysłem.

- Po karnawale, a przed Zaduszkami, zawsze rozgrywamy mecz między „dobrymi chłopcami” a „czarnymi typami”. To świetna zabawa. Ale jeśli się nie mylę, ciebie tam nie będzie?

Zignorował wyraźne pytanie, starając się coś wymyśleć.

- Kto wchodzi w skład drużyn?

- Człowiek Pająk, Olbrzym, Batman i Robin, Kacper Przyjazny Duch, Godzilla i King Kong grają w „dobrych

chłopcach". W drużynie „czarnych typów" jest Człowiek Ośmiornica, Kościotrup, Rodan...

- Rodan?

- To słynny pterodaktyl. Poza tym jeszcze Drakula, Kreatura z Czarnego Jeziora, Wilkołak.

Zrozumiał koncepcję rozgrywki, co odebrał jako małe osobiste zwycięstwo.

- No dobrze, a dlaczego musisz tak wcześnie tam iść?

- Jestem sędzią i muszę dopilnować przygotowań.

- Sędzią? - Noah puścił jej rękę, a poczucie zwycięstwa rozwiało się jak dym. Rhiannon w roli sędziego nie mieściła mu się w głowie.

- Mogę skorzystać z telefonu?

- Oczywiście - wskazała na aparat stojący na blacie w kuchni.

- Dziękuję. Esmé i Lawinia poszły rano do kościoła i nie było ich, kiedy wyjeżdżałem. Nie chciałbym, żeby się o mnie martwiły.

Wykręcił numer ciotek. Odebrała Esmé. Kiedy powiedział jej, gdzie jest, odrzekła: - Bardzo dobrze, kochanie. Zobaczyłyśmy twoje bagaże i od razu wiedziałyśmy, że nie pojechałeś daleko.

- Niedługo wracam.

- Zostań w mieście, tam się spotkamy. Musimy tylko się przebrać i jedziemy na mecz.

- Lubicie baseball? - zapytał zdziwiony.

- Nie przepuszczamy żadnego meczu.

Noah spojrzął na Rhiannon. Głaskała Merlina siedzącego na jej ramieniu i coś czule szeptała mu do ucha. Konspiracja. Odrzucił jednak tę myśl.

- Ciociu Esmé, nie wiesz może, czy burmistrz będzie na meczu?

- Oczywiście, mój drogi, gra w „czarnych typach".

- Rozumiem. Jeździec bez głowy był czarnym typem. Całkiem logiczne. Nie wiesz, gdzie on może teraz być?

- Prawdopodobnie w Niebieskiej Gospodzie, wiesz, przy skwerze. Zawsze jada tam obiady.

- Dobrze, porozmawiam z nim, jeśli go złapię. Potem spotkamy się na meczu.

- Czy to znaczy kochanie, że dzisiaj nie wyjeżdżasz?

Zawahał się, co odpowiedzieć. Odkrycie, że jednak dzisiaj nie wyjedzie, niemile go dotknęło. Zdał sobie sprawę, że jego umysł pracuje przeciwko niemu, bez jego wiedzy. Westchnął i pomyślał, co pozostaje człowiekowi, którego zdradza jego własny umysł.

- Sądzę, że nie. Zobaczymy się na meczu.

Odłożył słuchawkę i spojrział na Rhiannon. I sowa, i kobieta wpatrywały się w niego.

- Zostaję jeszcze jeden dzień - oświadczył.

- Esme i Lawinia na pewno będą szczęśliwe - powiedziała w sposób zdawkowo uprzejmy. - Odprowadzę cię do wyjścia.

Tym razem nie wzięła go za rękę; poczuł trudne do wytłumaczenia rozczarowanie.

Jak się okazało „Niebieska Gospoda” wzięła swoją nazwę od nazwiska właściciela, niejakiego Jeremiasza Blue, niezwykle pękatego jegomościa przebranego za „Niebieskiego Chłopca” Grainsbourougha. Zdaniem Noaha nie był to najszcześniejszy pomysł. Przede wszystkim kostium był o co najmniej dwa rozmiary za mały na Jeremiasza.

Przy ostatnim stoliku w głębi sali Noah zlokalizował burmistrza w przebraniu Jeźdźca bez głowy w towarzystwie Martina Richardsona odzianego w strój Drakuli.

Martin spojrział na Noaha zaskoczony.

- Myślałem, że jesteś już daleko od Hilary.

- Okoliczności mi nie sprzyjały - powiedział Noah niechętnie. - Jutro ponawiam próbę.

Kostium bezgłowego jeźdźca był skonstruowany w ten sposób, że ramiona opierały się na głowie burmistrza, który mógł patrzeć przez otwór znajdujący się między klapami płaszcza.

- Bardzo się cieszymy, że zostajesz jeszcze z nami, Noah. Nie będziesz żałował, że zobaczyłeś mecz.

Noah przyjrzał się swojemu ubraniu. Nagle uprzytomnił sobie, że jest jedyną osobą w mieście bez kostiumu. Rhiannon się nie liczyła. Kiedy przyjechał do Hilary, wydawało mu się, że jest jedyną osobą przy zdrowych zmysłach w domu wariatów. Teraz zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest jedyną nienormalną osobą w tym mieście.

- Prawdę mówiąc, panie burmistrzu, chciałbym porozmawiać z panem.

- Mów mi Jerry. Oczywiście, możemy porozmawiać. Chwileczkę, tylko się podrapię...

Martin podniósł ręce do góry.

- Nie przeszkadzam. I tak już muszę iść. Trzeba dopilnować ponczu na dzisiejszy wieczór - wstał zza stołu poprawiając czarną pelerynę. - Zobaczymy się na meczu Jerry. Noah, postaraj się.

- Przyjdę - powiedział Noah stwierdzając, że Hilary musi mieć światowy rekord w dziedzinie ilości zabawnych ludzi przypadających na metr kwadratowy. Przynajmniej na to wyglądało. Zachował jeszcze sporą dozę sceptycyzmu i nie zamierzał zmieniać zdania, zanim się nie dowie, czy jego ciotki mają istotnie powody do zmartwienia.

Siadł naprzeciwko burmistrza i przeszedł prosto do sprawy.

- Wiem, że urzędy są nieczynne w czasie... uhm... święta, ale niezwykle mnie interesuje ziemia na wschodzie miasta.

- W pobliżu farmy twoich ciotek, tak?

- Właśnie.

- Chcesz tu zamieszkać? - zapytał burmistrz z entuzjazmem.

Noah nie miał odwagi skłamać w żywe oczy człowiekowi, który potrafił zachować radosny nastrój w tak niewygodnym ubiorze.

- Ziemia jest zawsze dobrą lokatą odpowiedział wymijająco.

- Święte słowa, synu.

- Interesuje mnie, czy w ciągu ostatnich, powiedzmy, pięciu lat przeprowadzono tu badania geologiczne. Chciałbym także zerknąć do ksiąg katastralnych. Zakładam, że wszystkie te dokumenty znajdują się w urzędzie miasta, a więc?

Burmistrz usiłował skinąć głową, niestety wszystkie jego wysiłki powodowały jedynie konwulsyjne wstrząsy górnej części płaszcza. W końcu zdecydował się na zwykłe: Tak.

Noah rozważał, że opłaci mu się zostać jeszcze jutro parę godzin i przejrzeć archiwum.

- Rzecz jasna - mówił dalej burmistrz - trzymamy część dokumentów pod ręką dla wygody mieszkańców. Tak jest prościej dla ludzi, a i ja mogę mieć oko na wiele tutejszych spraw.

- Masz u siebie dokumenty, o które mi chodzi? - przyjrzał się burmistrzowi uważnie.

Bezgłowy tułów ponownie zaczął podrygiwać.

Podniecająca świadomość, że potrzebne mu informacje miał prawie w zasięgu ręki, sprawiła, że na chwilę zapomniał, gdzie jest.

- Bardzo pięknie, tyle że muszę czekać do wtorku, nieprawdaż? - zapytał nieco zniechęcony.

- No cóż, mam trochę czasu przed meczem. Mogę cię zabrać do biura i obejrzysz sobie to, co cię interesuje. Jak skończysz, pozamykasz wszystko i odniesiesz klucz.

- Co? -- nie wierzył własnym uszom. Burmistrz wybuchnął śmiechem na widok nie bardzo mądrej miny Noaha.

- A dlaczegoż by nie? Jesteś prawnikiem. Prawdziwym, godnym zaufania sługą Temidy. A co najważniejsze, jesteś siostrzeńcem Esme i Lawinii. Kiedyś nawet nieźle przyłożyłem twojej matce, jak byliśmy w szóstej klasie. Sprytna sztuka to była - roześmiał się ponownie. - Jeśli nie mógłbym zaufać tobie, to pytam, komu w ogóle mógłbym ufać?

Piętnaście minut później Noah siedział sam w archiwum, mając przed sobą interesujące go dokumenty. Pomyślał, że nawet gdyby przyszło mu pozostać w tym mieście do późnej starości, nigdy nie przyzwyczai się do panujących tu obyczajów.

Odsunął na bok wszelkie wątpliwości i z uśmiechem zadowolenia na twarzy zabrał się do studiowania papierów. Wiedział, że owe podejrzone transakcje nie zostały jeszcze sfinalizowane i że nie znajdzie informacji o nowych właścicielach. Jeśli jednak ktokolwiek miałby jakieś plany rozwojowe, to w pierwszym rzędzie skierowałyby uwagę na najłatwiejsze do nabycia parcele - parcele niezagospodarowane. Niestety, jak wynikało z dokumentów, poszczególne posiadłości znajdowały się dwadzieścia a nawet trzydzieści lat temu w tych samych rękach co obecnie.

Badania geologiczne również prowadziły w ślepą uliczkę. Ostatnie przeprowadzono osiemnaście lat temu.

Cokolwiek zniechęcony odłożył wszystko na miejsce i pozamykał zgodnie z instrukcjami burmistrza.

Wyszedł i zatrzymał się na zewnątrz na schodach do gmachu urzędu. Nie licząc kilku przechodniów spieszących w kierunku szkoły plac był praktycznie opustoszały.

Przypatrując się czubkom swoich włoskich brązowych mokasynów zauważył mimochodem, że przydałoby się je wypastować. Im dłużej tak stał, tym bardziej był niezadowolony. Co on tu właściwie robi. Bezsensownie traci tylko czas. Powiedział ciotkom, że spotkają się na meczu i zamierzał dotrzymać słowa. Ostatni raz oglądał mecz baseballowy w szkole średniej. A zresztą, jeszcze jeden dzień z dala od morderczej rywalizacji prawdopodobnie mu nie zaszkodzi.

Nie mówiąc już o tym, że będzie tam Rhiannon... jako sędzia.

Gdzieś z góry dobiegło go żalosne miauknięcie. Zaciekawiony rozejrzał się dookoła i napotkał dwie pary wlepionych w niego ślepiów. Naprzeciwko na gałęzi wielkiego klonu siedział Graymalkin ramię w ramię z Merlinem.

Absurdalność tej sytuacji zmusiła go do śmiechu.

- Dobra jest, chłopaki. Weźcie sobie wolne popołudnie. Ja idę tam gdzie trzeba.

Nie przestając się śmiać ruszył w kierunku szkoły.

Kiedy znalazł się na stadionie, na trybunach był już komplet widzów. Hoża Elwira i narzeczona Frankensteina kierowały klakierami każda swojej drużyny. Drakula wpijał zęby w szyję młodej damy uwieszanej u jego ramienia. Godzilla i Kreatura z Czarnego Jeziora, najwyraźniej kapitanowie zespołów, prowadzili namiętną dyskusję na środku boiska.

Odszukał wśród publiczności Esme i Lawinię i pomachał im. Dużo bardziej jednak interesowała go Rhiannon, która stała na skraju boiska trzymając na rękach złotowłosą księżniczkę Leilę. Dostrzegł ostrzegawczy błysk w jej oczach, lecz i bez tego dobrze pamiętał o niemiłym rozstaniu. Dlatego też teraz za wszelką cenę szukał kontaktu, a ponieważ kontakt

fizyczny, dotknięcie nie wchodziło rzecz jasna w grę, zdecydował się na rozmowę. Kiedy zbliżył się do niej i otworzył usta, nie mógł uwierzyć, że to on sam zapytał:

- Dlaczego Godzilla jest w „dobrych chłopcach”, przecież zniszczył Tokio?

Serce przestało mu bić, gdy zwlekała z odpowiedzią. Nie był pewny, czego właściwie chciał - może wystarczyłby jeden uśmiech? Omotała go podstępnie, to prawda, ale nie mógł wyjechać zostawiając sprawy w takim stanie.

Tak - odpowiedziała w końcu. - Ale później pokonał Rodana i dlatego jest dobry.

- No i walczył z Gamerą i Mothrą - dodała dziewczynka.

Małej księżniczce Rhiannon nie poskapiła uśmiechu. - Nie zapominaj o potworze Zero.

Księżniczka spojrzała na Noaha z politowaniem i wyjaśniła:

- Potwór Zero to trzygłowy smok.

- I tak powinno być? - zapytał. Obie jasne głowy skinęły potwierdzająco.

Potem Tokio zostało odbudowane - tłumaczyła dalej Rhiannon. - Godzilla wrócił do domu i kupił sieć barów szybkiej obsługi.

Księżniczka Leila i Noah popatrzyli na Rhiannon z niedowierzaniem.

- No cóż, może przesadziłam. Zaraz zaczyna się gra. Hopla Rhiannon opuściła księżniczkę na ziemię i kiedy mała pobiegła na widownię, sama chciała odejść na swoje stanowisko.

Noah miał zamiar ją powstrzymać, lecz szybko zrezygnował, widząc jej mało zachęcającą minę.

- Zobaczymy się po meczu? - zapytał.

- To nie ja wyjeżdżam, Noah - powiedziała smutno Rhiannon i poszła zająć pozycję sędziego.

Gra, która potem nastąpiła, była zaiste cudacznym widowiskiem. Noah początkowo trochę się zżymał, w końcu jednak zaczął się śmiać i kibicować i bawił się jak nigdy w życiu.

Godzilla i Kreatura z Czarnego Jeziora stanęli do wyścigu, żeby rozstrzygnąć, która z drużyn będzie pierwsza przy kiju. Wygrały „czarne typy”. W drużynie „dobrych chłopców” piłkę rzucał Batman, łapał zaś jego towarzysz Robin, Cudowny Młodzieniec. Kiedy „czarne typy” zostały rozstawione, okazało się, że dysponują tajną bronią. Człowiek Ośmiornica grający na środkowym polu wyposażył dwa ze swoich ramion w trzymetrowe przedłużki zakończone wielkimi przyssawkami. W pewnym momencie Godzilla zdzielił Rodana kijem w łeb. Kacper Przyjacielski Duch zaplątał się w swoje prześcieradła i zarył nosem w murawę.

Napięcie rosło z minuty na minutę aż wreszcie, pod koniec dziewiątej kolejki, przy rezultacie dziesięć do dziewięciu, prowadzący jednym punktem „dobrzy chłopcy” przejęli kij. Teraz królował na boisku Wilkołak, King Kong przy kiju, a Frankenstein z tyłu głównego stanowiska z rękawicą. Wilkołak zawył i cisnął wysoką piłkę. King Kong zamachnął się i nie trafił.

- Pierwszy rzut - krzyknęła Rhiannon. Lawinia siedząca obok Noaha nerwowo mięła w rękach koronkową chusteczkę.

- King Kong musi trafić. Wykop ją z boiska - wrzasnęła, żeby mu dodać otuchy.

Wilkołak zamachnął się ponownie i posłał piłkę poślizgiem między nogami King Konga.

- Drugi rzut - zawołała Rhiannon.

- Dobra odzywka - Lawinia poczęstowała Noaha sójką w bok.

King Kong rzucił kijem o ziemię, wziął się pod boki swoimi wielkimi łapskami i wlepił złowrogie spojrzenie w Wilkołaka.

Rhiannon poczochnęła karcąco włochny kark i powiedziała mu parę słów do słuchu. Po chwili wielka małpa podniosła kij i gra potoczyła się dalej.

Wilkołak zawył donośnie, zamachnął się i rzucił piłkę przegubową. Piłka podskakiwała, kręciła się i kreśliła esy floresy, robiła wszystko poza tym, co powinna, czyli lecieć w linii prostej. W końcu jednak dotarła z trudem do właściwego miejsca i King Kong odbił. Piłka z głośnym trzaskiem poleciała łukiem na środkowe pole.

Wszyscy na stadionie, nie wyłączając Noaha, wstrzymali oddech. Na boku boiska Godzilla nerwowo obgryzał czubek ogona.

Człowiek Ośmiornica pilnie śledził lot piłki, starając się wycelować jedną ze swoich macek. Piłka wpadła prosto do przyssawki, lecz ku ogólnemu zdziwieniu odbiła się i zaczęła wirować w powietrzu. Człowiek Ośmiornica wykonał o jeden ruch za dużo i padł jak długi, zaplątawszy się we własne ramiona.

Tymczasem King Kong minął pierwszą bazę.

W pogoń za piłką rzucił się Drakula w dramatycznie rozwianej czarnej pelerynie. Z drugiej strony nadciągała ciężko człapiąc Kreatura z Czarnego Jeziora. Zderzyli się na środku pola. Piłka przemknęła między nogami Jeźdźca bez Głowy, wymknęła się też Rodanowi, który zarył jednym skrzydłem w ziemię próbując ją pochwycić.

Cały stadion poderwał się na nogi, a King Kong okrążył trzecią bazę. Wreszcie piłka wyhamowała na bandzie, dopadł do niej Kościotrup i rzucił najmocniej, jak potrafił. Wilkołak wykonał imponujący wyskok, przejął piłkę i podał do Frankensteina czekającego na głównym stanowisku. Wielki

potwór już miał podać dalej, lecz King Kong właśnie zakończył bieg, lądując z łomotem tuż obok niego. Rhiannon odczekała aż opadnie pył i ogłosiła:

- Koniec!

Stadion szalał. „Dobrzy chłopcy” w komplecie tłoczyli się na środku boiska. Batman i Godzilla wzięli King Konga na ramiona, „czarne typy” otoczyły murem Wilkołaka i pocieszały go jak tylko umiały.

- To był najlepszy mecz, jaki widziałam - powiedziała Esmé ze łzami w oczach.

- Ja też tak myślę - Lawinia była równie wzruszona jak siostra.

- Zgadza się z wami - powiedział Noah obejmując obie ciotki.

Rozdział 5

Noah poczekał aż ciotki wyjadą z parkingu, potem zapalił silnik i ruszył za nimi w zapadającym zmierzchu. Widział, jak gestykują w czasie rozmowy.

Pomyślał, że jak zwykle jedna kończy zdanie zaczęte przez drugą. Matka mówiła mu kiedyś, że jej siostry pielęgnują tę manię od czasów dzieciństwa.

Dobrze się czuł w ich towarzystwie. Dręczyły go lekkie wyrzuty sumienia, że poświęca im za mało czasu. Powinien był tak zaplanować swoje zajęcia, żeby pobyć z nimi nieco dłużej. Ten jeden dodatkowy dzień to zdecydowanie za mało.

Zastanawiał się z niepokojem, ile czasu by potrzebował. Ile czasu musiałby jeszcze spędzić w Hilary, zanim byłby naprawdę gotowy do powrotu do swojego normalnego, rozsądnego życia? Tydzień? Dwa? Trzy?

Kilkakrotnie powtarzał w myśli to pytanie, dopóki nie doszedł do wniosku, że nie ma sensu zajmować się czymś tak nudnym jak normalne i rozsądne życie.

Wpatrzony w mrugające tylne światła jadącego przed nim samochodu przywołał w pamięci obraz Rhiannon wśród tłumu szalejących kibiców. Chciał jej wtedy powiedzieć, jak dobrze się bawił, że ona i wszyscy inni byli wspaniali. Chciał jej powiedzieć, że mecz był cudownie obłądny. Chciał...

Do licha. To, że chciał się z nią widzieć, nie miało nic wspólnego z meczem. Gnębiło go uczucie pustki i niezadowolenia. Nie wyjedzie przecież tak, jakby nigdy nic, bez słowa.

Zastanawiał się, czy nie wpaść do niej rano przed wyjazdem. Albo jeszcze dzisiaj, po kolacji. Nagle przyszła mu do głowy niemiła myśl. A co, jeśli jej nie zastanie? Może jest jakieś pomeczowe a przedzaduszkowe przyjęcie, o którym nic nie wie? Zapyta ciotek, one wiedzą wszystko.

Niespodziewanie przed samym samochodem przemknął czarny kot. Graymalkin. Noah gwałtownie nadepnął hamulec.

Zimny pot zrosił mu czoło. Boże, czyżby przejechał Graymalkina? Usiłował zebrać myśli. Czy słyszał jakiś pisk? Zdawało mu się tylko, czy rzeczywiście poczuł uderzenie czegoś małego o samochód?

Z bijącym sercem otworzył drzwi i wyskoczył. Zajrzał pod samochód. Nigdzie nie było śladu kota. Rozejrzał się dookoła. Odjechali już trochę od miasta i na szczęście nie było dużego ruchu. Zatrzymały się dwa samochody jadące z tyłu, zobaczył też, że Esme i Lawinia zawracają.

Z jednego samochodu wygramolił się Frankenstein.

- Co się stało, Noah?

- Zdaje się, że wpadłem na Graymalkina.

- Kota Rhiannon?

- Tak, ale nie mogę go znaleźć.

- Są jakieś ślady - krew albo sierść na samochodzie?

- Nie zauważyłem, z tym że w ogóle niewiele teraz widać.

Frankenstein zamyślił się, obracając w palcach kołek wystający z szyi.

- Niestety, też nie mam latarki. Posłuchaj, nie martwiłbym się przesadnie. Wiesz, co mówią o kotach?

- Co takiego - zapytał Człowiek Pająk, który właśnie podszedł w towarzystwie Esme, Lawinii i Elwiry.

- Koty mają niejedno życie, a podejrzewam, że Graymalkin ma ich co najmniej kilkanaście. To nie jest zwykły kot.

- Rozmawiamy o kocie Rhiannon. Prawdopodobnie wpadł mi pod samochód, ale nie ma żadnego śladu - wyjaśnił Noah nowo przybyłym.

- Nie martw się, zaraz ci pomożemy - Człowiek Pająk poklepał Noaha po ramieniu.

Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Noah podziękował wszystkim i zwrócił się do ciotek:

- Muszę wrócić do Rhiannon i powiedzieć jej, co się stało.

- Rób jak uważasz, kochanie - powiedziała Esme. - I nie przejmuj się kolacją.

- Zamierzałyśmy jedynie odgrzać resztki z obiadu - dodała Lawinia. - Zostań z Rhiannon tak długo, jak uznasz za stosowne. Będzie zrozpaczona, jeśli coś przytrafiło się Graymalkinowi. Ja osobiście jestem przekonana...

- ...że jest cały i zdrowy i z pewnością spokojnie siedzi w domu - dokończyła Esme.

Optymizm ciotek podnosił go na duchu w drodze powrotnej do miasta. Zobaczył Rhiannon w świetle reflektorów przed sklepem. Musiała usłyszeć nadjeżdżający samochód, bo odwróciła się.

- Noah - szepnęła, bojąc się uwierzyć, że to on.

W duchu wyrzuciła sobie, że tak chłodno potraktowała Noaha w czasie meczu. Na usprawiedliwienie miała tylko to, że nie potrafiła poradzić sobie z rozstaniem i bardzo cierpiała.

Szukała Noaha po zakończeniu gry, ale na boisku panował taki ścisk, że nie miała najmniejszej szansy. Potem stwierdziła, że poszedł sobie nie przejmując się tym, co zaszło między nimi. Teraz serce waliło jej z emocji.

- Widziałaś Graymalkina? - zawołał, wyskakując z samochodu.

Nastrój podniecenia prysnął. A więc to nie o nią mu chodzi. Zastanawiała się niechętnie, co też Graymalkin zmalował tym razem.

- Nie, a dlaczego?

- Niedawno, tuż za miastem, mignął mi przed samochodem. Wydaje mi się, że go uderzyłem.

- Graymalkina? - w jej oczach zabłysnął niepokój.

Noah czuł się nieswojo. - Nie jestem pewny, co się stało, chociaż wydaje mi się, że słyszałem pisk albo uderzenie. Nie wiem, zamyśliłem się.

Podszedł bliżej i wziął ją delikatnie za ramiona. - Bardzo mi przykro Rhiannon.

- Gdzie on jest, zawiozłeś go do weterynarza?

- Nie, nie wiem, gdzie jest.

- Poczekaj, nie znalazłeś go?

Potrząsnął głową.- Było ciemno, parę osób pomagało mi szukać po obu stronach drogi. Ciągle myślę, że leży gdzieś na polu. Wiesz, nie musiał tego robić. I tak chciałem do ciebie przyjechać.

W miarę jak mówił, Rhiannon myślała coraz sprawniej, wreszcie pojęła, że Noah błędnie rozumuje.

- Noah, nie mogłeś go uderzyć. Gdyby tak było, znalazłbyś jego samego albo jakiś ślad.

- Ale ja go widziałem. Przebiegł tuż przed samochodem.

- Mogłeś go widzieć i równie dobrze mógł pobiec dalej. Nie musiał od razu wpadać pod samochód. Chodźmy na górę, jeśli go tam nie ma, weźmiemy latarki i pojedziemy poszukać. Zakładam się jednak, że dawno już sobie poszedł.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu odetchnął swobodnie. Spokojne, rozsądne słowa Rhiannon sprawiły, że poczuł się lepiej.

- Mam nadzieję, że masz rację. Graymalkin polował na mnie odkąd tu przyjechałem, ale nie przebaczyłbym sobie, gdyby przeze mnie coś mu się stało. - Nazwał go po imieniu. Pierwszy raz - twarz Rhiannon pojaśniała.

Godzinę później, po usilnych lecz bezowocnych poszukiwaniach Graymalkina na szosie za miastem, Rhiannon pojawiła się przy kominku świeża i pachnąca. Spowita w czarne jedwabne kimono roztaczała wokół siebie tajemniczy, podniecający zapach.

- Tak, teraz jest o wiele lepiej - powiedziała cichutko. - Przy sędziowaniu można się niezłe zakurzyć. Ooo, rozpałiłeś wspaniały ogień.

Właśnie dołożył ostatnie kawałki drewna i ustawił kratę.

- Dzięki. Jak widać nie tylko czarownice panują nad żywiołami.

Uśmiechnęła się radośnie, zadowolona, że przestał się martwić.

- Najwyraźniej. Chcesz się czegoś napić? Ja mam ochotę na brandy.

- Zachęcająca propozycja. Dla mnie to samo. Postanowił odstąpić Rhiannon wygodny miękki fotel przy kominku i przysunął sobie drugi, który zwykle stał pośrodku pokoju. Rhiannon nie skorzystała z oferty. Kiedy wróciła niosąc drinki, podała mu szklankę i usadowiła się na podłodze tyłem do kominka i przodem do niego.

Wypił spory tyk brandy i od razu poczuł moc trunku.

- Nie widzę Merlina, a podejrzewam, że gdzieś się tu czai w nadziei, że uda mu się zmylić moją czujność.

- Musiałby na to czekać aż do śmierci - odrzekła oschle.

Popatrzył na nią znad krawędzi kryształowej szklanki.

- Tobie się to udaje całkiem często.

- Jestem pewna, że Merlin jest na dworze z Graymalkinem - powiedziała, czując suchy ucisk w gardle.

- Widziałem już dzisiaj tę parę.

- A nie mówiłam, na pewno są razem.

- Mimo wszystko wolałbym zaczekać do jego powrotu. Po prostu chcę się upewnić, że wszystko w porządku. Oczywiście, o ile nie masz nic przeciwko temu.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz - powiedziała miękko.

Jej jasne rozwichrzone kosmyki rozbłyskiwały raz po raz w ostrym blasku ognia. Zdecydowany nie poddawać się urokowi powiedział wściekłym tonem:

- Cholerny kot. Jak tylko wróci, skręcę mu kark!

- A więc znów mamy „cholernego kota”. Gdzie się podział Graymalkin? -- spytała z goryczą.

- Nie znaleźliśmy najmniejszego śladu i teraz wiem, że go nie przejechałem. To oznacza, że żyje, a to z kolei oznacza, że jest cholernym kotem.

- Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę, Noah. Czujesz się lepiej, bo go nie przejechałeś, więc zamierzasz go zabić. A chcesz zostać, żeby się upewnić, czy nic mu nie jest - poklepała go protekcjonalnie po kolanie.

Cała złość błyskawicznie wyparowała, robiąc niebezpiecznie dużo miejsca na zupełnie inne uczucia.

Jako środek zapobiegawczy przepisał sobie większą ilość brandy.

- Nie mogłam cię znaleźć na stadionie po meczu - powiedziała obojętnie.

W rzeczywistości nic się między nimi nie zmieniło i powinna o tym pamiętać.

Lekarstwo nie poskutkowało. Nadal wydawała mu się najcudowniejszą kobietą na świecie. Pożądał jej do szaleństwa i żadna ilość brandy nic tu nie mogła działać. Odstawił szklankę na bok.

- Chciałem się do ciebie dostać, ale byłaś obłąkana. To była wspaniała gra.

- Cieszę się, że przyszedłeś na mecz.

- Czy zawsze są takie wariackie?

- Zawsze. Nie wiadomo, kto się lepiej bawi: gracze czy publiczność. W każdym razie nastrój jest zawsze wspaniały.

- Pokonani są pewnie innego zdania.

- Jacy pokonani? Gra zawsze kończy się remisem.

- Co roku?

- Tak. W przedzaduszkowym meczu nie ma dogrywki.

Złapał się na tym, że już chciał zapytać, czy same remisy mają jakikolwiek sens. Powoli zaczynał się uczyć, choć nie do końca, bo miał jeszcze jedno kłopotliwe pytanie.

- Czy to ty sprawiłaś, że piłka wyskoczyła Człowiekowi Ośmiornicy z ręki? - zapytał w pełni świadom przykrych konsekwencji.

Rhiannon uniosła lekko brwi. - Noah, sam widziałeś, gdzie wszyscy stali. Ja byłam poza głównym stanowiskiem a Człowiek Ośmiornica na środku pola. Dlaczego więc sądzisz, że miałam z tym coś wspólnego?

- Och, nie wiem... - mruknął pocierając czoło.

- Przyjechałeś tu zmęczony i przepracowany. W gruncie rzeczy nie miałeś czasu odpocząć. Doprawdy powinieneś bardziej dbać o siebie.

Słodki głos owijał się wokół niego jak powój. Pozostawała mu już tylko kapitulacja.

- Przed przyjazdem do Hilary na ogół nie miałem problemów. A teraz tyle nowych wrażeń... - urwał. - Nigdy nie spotkałem czarownicy.

- Nie wiem skąd ten pomysł, że jestem czarownicą - odparła, nie czując się bynajmniej wszechmocna.

- Tak mówisz, ale jak inaczej cię nazwać? Potrafisz być przy mnie, nawet kiedy nie jesteśmy razem.

Przechyliła głowę zrzucając złote włosy na jedno ramię.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz, powiedziałem, że kiedy Graymalkin przebiegł mi drogę, byłem zamyślony.

Skinęła głową.

- Myślałem o tobie.

- Nie jestem pewna, czy mam się cieszyć - powiedziała bliska omdlenia. - Mam przeczucie, że to były bardzo mroczne myśli.

- Nie mroczne. Po prostu niejasne. Do tej pory niewiele rozumiem z tego wszystkiego i mogę zrobić tylko jedno: rozluźnić się i popłynąć z prądem.

Oddychała z trudem. Jego spojrzenie przesunęło się po jej szyi i ustach, aż spotkało się z jej spojrzeniem.

- Miałem zamiar przyjechać dziś wieczór do ciebie, ale bałem się, że będziesz na jakimś przyjęciu.

- Nigdy nie urządzamy zabaw w przeddzień Zaduszek.

- Odpoczynek przed wielkim dniem? Skinęła głową.

- Widzisz, przyzwyczajam się do sposobu myślenia ludzi w tym mieście - nie do twojego jednak. Zaczynam też rozumieć, że dziwaczny, niekoniecznie oznacza zły i że Hilary jest wyjątkowe.

- Mówisz, że zaczynasz rozumieć? - spytała nie całkiem przekonana.

- Tak, chociaż przyznaję, że jeszcze daleka droga przede mną. Rozum mi mówi, żeby wracać do Nowego Jorku, natomiast zmysły są raczej zdania, żeby zostać i zobaczyć jakie jeszcze cuda chowasz w zanadrzu.

- I co w końcu zrobisz - spytała, zwilżywszy wargi językiem.

- Po raz pierwszy w życiu usłucham moich zmysłów. Schylił się i przyciągnął ją do siebie.

- Noah... - klęczała przed nim i prawie nie była w stanie oddychać.

- Nie mam siły walczyć z twoją mocą nade mną - rozsunał kolana i przycisnął ją jeszcze mocniej. - Poddaję się całkowicie i ostatecznie.

Uśmiechnął się widząc jej zdumienie. Jeden jedyny raz to on panował nad sytuacją - nieważne jak krótko.

- A więc Rhiannon, co tam dla mnie chowasz? Co zaplanowałaś? Cokolwiek by to nie było, od razu ci powiem, że mi się spodoba.

Fala gorąca opanowała całe jej ciało usuwając napięcie wywołane zaskoczeniem. Objęła go za szyję. A więc ich namiętność miała się w końcu spełnić.

- Jeśli miałam jakiś plan - a myślę, że nie miałam - to właśnie ulotnił się przez okno.

Rhiannon osunęła ręce na jego kolana. Sznur od kimona obluzował się i spomiędzy czarnego jedwabiu wyrzały kształtne piersi o różowych, nabrzmiąłych sutkach.

- A zatem będziemy improwizować - zachrypiał i wpił się w jej usta.

Przywarła do niego całym ciałem. Nurkował, napierał i drażył językiem, ale to on był uwiedziony. Posiadała rzadko spotykaną zmysłowość, prowokowała i rozpalała. Jak mógłby się nie spieszyć. Była zbyt słodka i miękka, zbyt uległa i gotowa. Opanowało go gwałtowne przeświadczenie, że to będzie niepodobne do niczego, co do tej pory znał. Niecierpliwość zwyciężyła i wziął ją na ręce.

Łóżko zafalowało łagodnie pod ich ciężarem.

- Jak to jest kochać się na bujanym łóżku? - zapytał, pokrywając jej ciało pocałunkami.

- Nie wiem. Nigdy się na nim nie kochałam. Chciał o coś zapytać, lecz patrząc jak uwalnia się z ubrania, zapomniał o co mu chodziło.

Była jak bogini wyrzeźbiona z kości słoniowej. Widok pięknych i zmysłowych kształtów jej ciała przyprawił go o bolesny skurcz pożądania. - Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką widziałem.

Pochyliła się i pocałowała go. Na pół zamroczona pomyślała, że jednak miała rację. Instynkt jej nie zawiódł, za

chwilę pozna jego miłość i siłę. I będzie miała wszystko to, czego pragnęła.

Z gładkiego brzucha przeniósł rękę ku górze na wypukłość jędrnej piersi.

- Jedwab - zamruczał i zniżył się, by chwycić w usta rozkoszny koniuszek. Powodowany brutalnym pragnieniem wchłonięcia jej w siebie szarpał i drażnił brodawkę sutka.

Jęknęła i wygięła biodra. - Wiesz co - szeptała z trudem. - Lubię improwizować.

- To dobrze, bo mam wrażenie, że będziemy to często robić.

Z ustami ciągle na piersi ześlizgnął rękę w dół, do krocza.

- Jeśli na wierzchu jesteś jedwabista, to zobaczymy jaka jesteś w środku - wyszeptał, pozwalając błędzić palcom.

Krzyknęła. Zamknął jej usta swoimi ustami chwytając każdy dźwięk i każde tchnienie.

- Jesteś jak ciemny aksamit - sam odpowiedział na swoje pytanie. - Wilgotna, miękka i nieskończenie pociągająca.

Intymność aktu pozbawiła ją zdolności logicznego myślenia. Pieścił ją tak, jakby wszystko o niej wiedział. Gdzieś nisko, w żołądku, pojawił się ucisk coraz silniejszy i naglący...

- Noah...

Łaskotał wargami jej usta, ani przez chwilę nie przerywając poszukiwań. Nagle podniósł głowę i zobaczył zachwyty w jej oczach.

- Na Boga, Rhiannon chcę ciebie. Rhiannon czuła wyraźnie, że napięcie w niej eksploduje, że wkrótce nastąpi kulminacja.

Zaklął szeptem. Łóżko zakołysało gwałtownie, gdy zerwał się, aby zrzucić z siebie ubranie.

Pozostawiona nagle sama u szczytu uniesienia wyciągnęła ramiona.

- Wracaj!

To było zaproszenie, rozkaz i zaklęcie, które przeszło go dreszczem. Rzucił się na łóżko i wszedł w nią prawie jednocześnie. Znaczenie napotkanego oporu dotarło do jego świadomości z opóźnieniem. Znieruchomiał zaszokowany.

- Jesteś dziewczicą?

- Oczywiście, ale nie martw się, wszystko w porządku - odpowiedziała bez najmniejszego zakłopotania czy wahania.

Łóżko kołysało się w tył i w przód, choć tkwił w niej nieruchomo. Nerwy gorączkowo domagały się spuszczenia z wodzy, przedtem jednak musiał się dowiedzieć.

- Dlaczego ja, Rhiannon?

Owinęła nogami jego biodra. Po co tracić czas. Jak mógł w ogóle myśleć.

- Dlatego, że wiedziałam, że tak powinno być. Jej mięśnie drgały i pulsowały wokół niego. Nie mógł już dłużej czekać. Wykonał najpierw kilka wolnych i płytkich pchnięć, a gdy zaczęła krzyczeć z rozkoszy, wdzierał się w nią coraz głębiej i mocniej.

Podniecenie narastało, czas i świadomość zniknęły. Pograżyli się w szaleńczym zapomnieniu stopieni w jedno gwałtowną, bezgraniczną namiętnością.

Liczyło się wyłącznie palące pożądanie i trudne do zniesienia odczucia. Razem osiągnęli szczyty uniesienia, o których żadne z dwojga nie miało do tej pory pojęcia, a potem nastąpiło zaspokojenie.

Sen ustępował łagodnie. Rhiannon wyciągnęła się i napotkała otaczające ją mocno ramiona. Powoli powracały wspomnienia ostatnich kilku godzin spędzonych z Noahem, aż wreszcie obudziła się i przypomniała sobie wszystko.

Przepajało ją zadowolenie, czuła się miękka i ciepła. W duszy jednak kiełkowało ziarno niepokoju. Szukała w myślach przyczyny, lecz jej nie znajdowała.

Być może łatwiej byłoby jej myśleć, gdyby nie bliskość Noaha. Czują wzdłuż siebie ciepło męskiego ciała stwierdzając z przerażeniem, że nadal go pragnie.

Noah uległ w końcu nękającej go od dziesięciu minut pokusie i zanurzył palce w puszystych jasnych lokach. Przynajmniej tym razem wiedział, że to nie wiatr, lecz miłość i sen je poplątały.

- Nie śpisz? - szepnął.

Serce Rhiannon zabiło mocniej na dźwięk jego głosu. Powoli przekręciła się na plecy. Surowe rysy jego twarzy złagodniały i wydawał się jeszcze bardziej przystojny. Czy to kochanie się z nią tak na niego podziałało? Jak w takim razie ich miłość wpłynęła na nią samą?

- Jak się czujesz - zapytał. - Nie chciałem sprawić ci bólu, ale gdy się zorientowałem, było już za późno, żebym się wycofał.

Nie chciała, by czuł się winny za coś, co było raczej jej problemem.

- Czuję się cudownie - powiedziała kładąc mu palec na ustach. - I wcale mnie nie bolało.

- Nie mogę uwierzyć, że to na mnie czekałaś - uśmiechnął się tkliwie. - Dlatego właśnie to było coś specjalnego. Jestem najszczęśliwszym facetem pod słońcem.

- To było więcej niż coś specjalnego - odparła z mieszaniną zachwyty i zakłopotania w głosie. Dlaczego to niezwykle przeżycie napawało ją niepokojem? - Ale... - nagle znieruchomiała.

- Co takiego?

- Ciii, posłuchaj.

Usłyszał odgłos końskich kopyt stukających o bruk. - Konna przejażdżka o tej porze nocy?

- Nic strasznego - powiedziała uspokojona znajomym dźwiękiem. - Po prostu młodociani obywatele Hilary i ich

kawały. Każdego roku jeden albo kilku podszywa się pod Johna Millera. Starają się podtrzymać legendę. Nieźle się bawią napędzając ludziom stracha. Robią swoje nawet w latach, kiedy nie kwitną róże.

Z trudem przychodziło mu się skupić na czymś innym niż ciepłe nagie ciało u jego boku, ale tyle już razy słyszał o legendzie, że postanowił się przemóc. Wstał i podszedł do okna.

Oczywiście. Wokół skweru krążył na koniu młodzieniec w dżinsowym ubraniu, z olbrzymią dynią pod pachą i szerokim uśmiechem na twarzy, a pod ścianami przemykało kilku jego kolegów.

- Co to za legenda, o której wszyscy w kółko mówią? - spytał, odwracając się do niej.

Na moment głos uwiązł jej w gardle. Srebrny blask księżycy wydobywał każdy szczegół muskularnej postaci mężczyzny. Wspomnienie jego siły wypełniło ją ciepłem.

- Chodź do łóżka, to ci powiem. Zaskoczyło go pożądanie brzmiące w jej słowach.

Wrócił do łóżka, poprawił poduszki, przygarnął ją do siebie i długo całował.

- Nie wiem, czy jeszcze mam ochotę na legendę. Uśmiechnęła się myśląc to samo. On przecież był przy niej, obejmował ją i na razie była zadowolona.

- I tak znasz już część. Opowiadałam ci o Johnie Millerze, o tym jak przed wojną zakochał się w Priscilli Davenport.

Przytaknął, owijając jasny kosmyk włosów wokół palców.

- A więc, tej nocy kiedy przyjechał tutaj, żeby ostrzec mieszkańców, wziął Priscille w ramiona i wyznał jej miłość.

- Czy zachowały się zeznania naocznych świadków?

Rhiannon zachichotała, a on poczuł się dumny, że to niezwykle stworzenie należy do niego.

- Wtedy obiecał, że wróci do niej, jak tylko skończy się wojna. Wojna niestety ciągnęła się w nieskończoność. Priscilla zachorowała na żółtą febrę i umarła.

- Och, nie! Zaśmiała się na widok jego przerażonej miny.

- To właśnie powiedział John Miller, kiedy nareszcie wrócił z wojny. To było 31 października. Przywiózł Priscilli bukiet róż, a dowiedziawszy się o śmierci ukochanej wyrzucił róże w miejscu, gdzie teraz dziko rosną i odjechał w siną dal ze złamanym sercem. Wkrótce potem nadeszła wiadomość o jego śmierci.

- Pozwól, że zgadnę - spadł z konia.

- Nie. Umarł z miłości.

- O rany, kto by przypuszczał!

- Któregoś roku 31 października o północy ludzie usłyszeli, jak przejeżdża na koniu główną ulicą. Biedny Duch, szukał Priscilli.

- Domyślam się, że szuka jej do dziś. Kiwnęła głową. - Nie każdego roku się pojawia i nie zawsze przyjeżdża dokładnie 31. Czasami dzień wcześniej, czasami dzień później.

- A gdzie się podziewa, kiedy nie jest tutaj?

- Nie wiadomo, ale kiedy dzikie róże kwitną tak jak tego roku, zawsze odwiedza Hilary.

Prawie bał się zadać następne pytanie.

- Widziałas go?

- Nie, ale go słyszałam.

- A inni ludzie widzieli?

- Tak, wiele, wiele razy w ciągu tych długich lat. Przynajmniej tak mówią. Ja osobiście nie znam nikogo, kto by twierdził, że naprawdę go widział...

- Rhiannon...

- Wiem, wiem. Uważasz, że to idiotyzm, ponieważ nie można tego racjonalnie wytłumaczyć.

- Gdybym mieszkał w Hilary i usłyszał go kiedyś, to wstałbym, żeby zobaczyć.

- Spróbuj postawić się na naszym miejscu. Co by się stało, gdybym ja albo ktoś inny wyjrzał przez okno i nic nie zobaczył. To by zniszczyło miasto.

Potrząsnął głową. Wiedziała, że nie jest przekonany.

- Pamiętasz, jakie rozczarowanie przeżyłeś, kiedy dowiedziałeś się, że Święty Mikołaj nie istnieje.

- Nie byłem rozczarowany. Ulżyło mi. Święty Mikołaj zawsze wydawał mi się bez sensu.

Niepokój znów dał znać o sobie, ale usiłowała go zignorować.

- W takim razie jesteś dziwny.

- A ja sądziłem, że to wy jesteście dziwni.

- Żal mi ciebie.

- Mnie? - spytał trzymając rękę w jej włosach.

- Nigdy nie zaznałeś radości prostej wiary.

- Wszystko bez wyjątku ma swoje logiczne wytłumaczenie, Rhiannon. Widocznie przez te wszystkie lata niektórym udawało się nabierać ludzi nieco skuteczniej, niż temu tam młodemu człowiekowi za oknem.

Rozśmieszył ją śmiertelnie poważny ton przemówienia Noaha.

- Być może metoda jest sekretem rodzinnym, przekazywanym z pokolenia na pokolenie -- powiedziała uroczyście.

- Być może - zorientował się, że żartuje i wyszczerzył zęby. - Nawet przy świetle księżycy widać, że się śmiejesz położył pieszczotliwie dłoń na jej twarzy. - Kocham cię.

Nie była w stanie nic powiedzieć, chociaż wszystkie niemile myśli powróciły. Nie miała jednak czasu na zajmowanie się swoimi wątpliwościami, bo w następnej chwili wziął w posiadanie jej usta i ją całą.

Rozdział 6

Poranny blask zmusił Rhiannon do zmruczenia oczu. Coś było nie tak. Nigdy przedtem nie drażniły jej promienie słońca, ale tego ranka wydawały się zbyt mocne. A może to ona była zbyt słaba.

Spokojny oddech Noaha u jej boku świadczył o tym, że jeszcze śpi. Dlaczego ona nie spała? Noc była wyczerpująca. Cudowna.

Przerażająca.

Nie mogła już dłużej uciekać od rzeczywistości. Otworzyła oczy nakazując sobie stawić czoło zarówno jasności, jak i faktom. Ostatniej nocy Noah odkrył przed nią świat, gdzie istniały nowe rodzaje bólu, rozdzierające brutalne doznania. Była oszołomiona i zupełnie nieprzygotowana na gwałtowność miłosnych uniesień.

Przed bólem, który poznała jako mała dziewczynka, przez wiele lat chroniła ją miłość i poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało jej Hilary. Zapomniała, że istnieją inne zagrożenia i niebezpieczeństwa.

Naiwnie skupiła swe marzenia na momencie, kiedy Noah weźmie ją w ramiona i będzie ją kochał. Ponieważ nigdy przedtem nie przeżyła prawdziwej namiętności, sądziła, że akt miłosny będzie kulminacją i spełnieniem wszystkich pragnień, jakie on w niej obudził. Okazało się jednak, że to był dopiero początek czegoś nieznanego i bardzo się bała. Doświadczenie mówiło jej, że zmiany oznaczają cierpienie. Ten sam instynkt, który podpowiadał jej, że słusznie wybrała Noaha, teraz mówił, że powinna się jak najszybciej wycofać.

Podniosła się ostrożnie, tak by nie zbudzić Noaha i poszła wziąć kąpiel.

Kiedy wróciła, Noah był już ubrany i obserwował Graymalkina, który stał nieruchomo pośrodku pokoju i z nastroszonym ogonem wpatrywał się w fotel przy kominku.

- Wrócił - szepnął Noah. - Tylko dziwnie się zachowuje.
- To fotel, który wczoraj przesunąłeś. Nie stoi na swoim miejscu i dlatego nie jest pewny, co to takiego. Zobacz.

Po chwili Graymalkin ostrożnie zbliżył się do fotela, obwąchał go dokładnie z każdej strony i przekonawszy się, że to znajomy mebel, spokojnie powędrował na swoje ulubione miejsce do skrzynki na kwiaty przy frontowym oknie.

- Nieufność wobec nieznanego jest charakterystyczna dla kotów - wyjaśniła. - Ludzie mogą się zmieniać, ale rzeczy w kocim świecie muszą być na swoim miejscu.

- Będę musiał się wiele nauczyć o kotach i sowach, prawda? - zapytał obejmując ją.

Złożył na jej ustach lekki, delikatny pocałunek i mimo wszystkich swoich obaw i wątpliwości nie mogła pozostać obojętna. Gorące i bolesne pragnienie ożywiło jej ciało potęgując wewnętrzny niepokój.

- Merlin też wrócił - szepnął, powolutku odsuwając się od niej.

Rhiannon spojrzała przez ramię w kierunku szafy, na której siedział Merlin pogrążony we śnie. Nie widział Noaha. Naprawdę spał.

- Dzisiaj jest ten wielki dzień - uśmiechnął się Noah.

- Dzień?

- Zaduszki, zapomniałaś?

- Nie. Oczywiście, że nie.

A jednak zapomniała. W jej myślach nie było miejsca dla nikogo i niczego poza nim. Wydało się to jej niebezpieczne.

- Powinnam się ubrać.

- A więc, jaki dziś plan?

Otworzyła szafę i wzięła czarne dżinsy i czarny sweter.

- Co? Nie mów mi, że to cię interesuje.

- Jestem ciekaw - wzruszył ramionami. - Nigdy nie świętowałem Zaduszek na całego. Jaki jest rozkład zajęć?

Schowała się za parawanem, zastanawiając się, dlaczego właściwie to robi. Ostatniej nocy spędził długie godziny na poznawaniu jej ciała. Pieścił i całował wszystkie sekretne miejsca, pobudzając je do dzikiej rozkoszy. Przed kim więc starała się ukryć?

- Do południa większość ludzi siedzi w domu i szykuje jedzenie na wieczór.

- Jedzenie? To brzmi nieźle. A co my będziemy robili?

My. Widocznie nie trapiły go żadne wątpliwości. - Ja już wszystko przygotowałam. Mam ciasteczka w kształcie kota. Dzieci je uwielbiają. Mówią, że wyglądają jak Graymalkin.

- A co on o tym sądzi?

- Uważa, że to coś poniżej jego godności. Przez cały dzień będzie na mnie śmiertelnie obrażony - powiedziała, wynurzając się zza parawanu.

Noah popatrzył na Graymalkina zwiniętego w kłębek między kwiatami. Ze skrzynki miał dogodny widok na plac i wszystko, co się tam działo.

- Uhm. Czy wytłumaczyłaś mu, że te ciastka nie są rodzajem kanibalizmu?

Wczoraj byłaby zachwycona taką uwagą, dzisiaj tylko ją zirytowała.

- Mówisz o nim, jakby był człowiekiem.

- Coś nie tak? - spytał, zaskoczony ostrym tonem jej słów.

Założyła ręce przyciskając je mocno do piersi. Coś było nie tak, ale sama nie bardzo wiedziała co. Nie potrafiłaby mu wytłumaczyć.

- Po prostu nie rozumiem, co się stało. Nagle interesują cię Zaduszki, mówisz o Graymalkinie tak, jakbyś go lubił...

- Za dużo powiedziane - mruknął, spoglądając ponownie na kota. Tym razem niebieskie oczy patrzyły prosto na niego. Noah pierwszy zamrugnął i odwrócił wzrok.

- Dlaczego, Noah? Dlaczego raptem chcesz w tym uczestniczyć?

- Powiedziałem ci już wczoraj - rzekł biorąc ją w ramiona. - Poddałem się. Powinienem był to zrobić wcześniej, bo w rzeczywistości nie miałem żadnej szansy. Jak miałem walczyć z urokiem rzuconym przez piękną, uwodzicielską czarownicę?

- Piękną, uwodzicielską czarownicę? Jesteś śmieszny Noah.

- No cóż, myślę, że zakochany mężczyzna zawsze głupio wygląda - powiedział i cmoknął ją w usta. - Nie wiem. Nigdy nie byłem zakochany. Mimo wszystko, jak do tej pory, bawię się znakomicie.

Odsunął się i spojrzał na telefon.

- Zadzwoń do ciotek. Nie chciałbym, żeby się o mnie martwiły. Potem zadzwonię do biura. Miałaś rację, z powodzeniem mogę przekazać polecenia przez telefon.

- To brzmi, jakbyś zamierzał tu zostać jakiś czas - powiedziała z zamyśloną miną.

Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. - Mogę zostać jeszcze parę dni. Potem, tak czy inaczej muszę wracać. Nie sposób tak po prostu rzucić praktykę, nawet gdyby się chciało. A ty pojedziesz ze mną.

Niefrasobliwa stanowczość tego stwierdzenia sprawiła, że miała ochotę zazgrzytać zębami.

- Powiedz mi Noah, czy dostanę ładną czerwoną wstążkę?

- Co takiego? - odwrócił się zdziwiony. Wsłuchiwał się w sygnał telefonu i nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś chciał mnie ładnie zapakować i zabrać ze sobą do Nowego Jorku.

- Co ci przyszło do głowy? - Z drugiej strony podniesiono słuchawkę i musiał przerwać.

- Ciociu Esme, to ty?

- Tak, kochanie - odezwał się czkający głos. - Wykręciłeś zły numer?

- Nie. Dzwonię do was.

- A więc, wszystko w porządku, nieprawdaż - czknęła znowu.

- Tak, ciociu Esme. Dobrze się czujesz. Masz... dziwny głos. Co to za hałas?

- Hałas? - zachichotała czkając. - Och, słuchamy muzyczki kochanie. Spiker powiedział, że to będzie bomba. Niezły beat. Dobry do tańca.

- Może lepiej daj mi do telefonu Lawinię - powiedział marszcząc czoło.

- Nie mogę - zaśmiała się i zaczęła. - Ona jest zajęta.

- Ciociu Esme, czy wyście piły?

- Mój Boże, skąd! Nie jesteśmy wprawdzie abstynentkami, jak twoja cioteczna babka Amanda, ale... jest dopiero dziesiąta - dokończyła czkając i chichocząc.

- Ciociu Esme, co wy robicie?

- Pieczemy ciasto, kochanie. Miło, że zadzwoniłeś, ale muszę już kończyć. Pa, pa kochanie.

- Nie, zaczekaj! - usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki. - A niech to.

Popatrzył na Rhiannon, która zaciekawiona słuchała rozmowy. - Coś jest nie w porządku.

- Słyszałam. Jak sądzisz, o co może chodzić? - spytała, zapominając o własnych zmartwieniach.

- Nie wiem, ale lepiej będzie pojechać i sprawdzić. Za dużo niewytłumaczalnych rzeczy dzieje się tu ostatnio.

- No, to jedźmy.

- Chwileczkę. Co ty mówiłaś o ładnym opakowaniu?

- Nic, co by nie mogło poczekać - odparła po chwili wahania.

- Niewiarygodne - mruknął osłupiały na widok tego, co ujrział.

- Lepiej uwierz - zaśmiała się Rhiannon. - Twoje cioteczki naćpały się cukru pudru.

Przy kuchennym blacie podrygiwała Esme. Ubijała mikserem krem dosypując jednocześnie cukier do miski. Z miski wydobywały się tumany białego, słodkiego pyłu, który pokrywał już wszystko dookoła. Lawinia, z tubą do wyciskania kremu, opadła bezwładnie na krzesło przy stole i zafascynowana przyglądała się swemu nadgarstkowi. Radio ryczało na cały regulator.

Noah wyłączył muzykę.

Lawinia nie przestawała studiować nadgarstka.

Esme popatrzyła nieprzytomnie po kuchni.

- Hej, jak się macie. Mogłabym przysiąc, że przed chwilą rozmawialiśmy przez telefon. Ślicznie wyglądasz Rhiannon. Chciałabym, żeby mi było w czarnym tak dobrze jak tobie.

- Dziękuję Esme - powiedziała Rhiannon podchodząc bliżej. - Co robicie?

- Dynie - odpowiedziała Esme z uśmiechem przerywanym czkawką. - Mamy już całą blachę biszkoptu czekoladowego. Wykroiliśmy okrągłe ciasteczka. Ja zajmuję się polewą pomarańczową, a Lawinia kładzie krem. Lawinio!

Lawinia nie odrywała oczu od nadgarstka. - Coś zadziwiającego. Nigdy bym nie przypuszczała, że puls może być tak widoczny. Chodź, zobacz Esme. Niesamowite.

- Zaraz. Przyjechał Noah z Rhiannon - po ogłoszeniu tej nowiny wybuchnęła śmiechem.

Noah wyłączył mikser. - Musimy je stąd wyprowadzić.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Lawinia wstając od stołu. - Mamy za dużo roboty. Nigdzie nie pójdę.

Rhiannon podeszła zobaczyć powykrzywiane, jakby pijane dyniowe twarze. Jedne były uśmiechnięte, inne smutne. Niektóre miały trzy oczka.

- Wspaniała robota. Dzieciom na pewno się spodobają.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Nie mam najmniejszej wątpliwości. Już prawie skończyłyście. Nie zaszkodzi wam mała przerwa. - Wzięła Lawinię pod łokcie i poprowadziła ją do wyjścia. - Chodźmy wszyscy na ganek, odetchniemy świeżym powietrzem.

Noah łagodnie, acz stanowczo wyprowadził Esme. - Cała oblepiona cukrem - mruknął.

- Cukier puder to kokaina cukierników - zaśpiewała Lawinia w rytmie rumby.

Na ganku Noah i Rhiannon usadzili obie białe damy w wiklinowych fotelach i tak jak mogli, otrzepali je z cukru. Rhiannon poszła do kuchni przygotować kanapki.

- Proteiny powinny trochę pomóc - oświadczyła wracając z pełną tacą.

- Nie jestem pewny, czy coś może im pomóc, chyba że detoksykacja.

Po dwóch godzinach spędzonych na odkrobywaniu kuchni Noah pojawił się przed domem i popatrzył z niepokojem na ciotki. Rozciągnięte na fotelach gapiły się bezmyślnie przed siebie. Wyrwane z narkotyczno cukrowego zamroczenia nie miały siły ruszyć ręką, ani nogą.

- Do wieczora im przejdzie - powiedziała Rhiannon, odrzucając z czoła mokre kosmyki. - Wykąpią się i przebiorą. Muszą trochę odsapnąć.

- Dziękuję, kochanie - powiedział biorąc ją lekko za ramię. - Doceniam twoje wysiłki.

Czuły gest Noaha wywołał w niej falę gorąca. Działał na nią tak, jak cukier puder na Esme i Lawinię - oszalał ją i

osłabiająco. Powinna uciec od niego jak najdalej i pomyśleć, co się z nią dzieje.

- Muszę wracać do sklepu.
- Sądziłem, że dzisiaj wszystko zamknięte.
- Większość sklepów tak, ale ja zawsze staram się być do dyspozycji po południu. Po wczorajszym meczu dużo kostiumów może wymagać reperacji.

- Wasze dynie będą prawdziwym przebojem - powiedziała Rhiannon ucałowawszy najpierw Esme a potem Lawinię.

- Dzięki ci kochanie - ucieszyła się Esme.
- Przyjedziesz wieczorem? - spytała Lawinia.
- Chyba nie, ale i tak niedługo się zobaczymy.
- Nie ruszajcie się stąd - nakazał Noah ciotkom. Wziął Rhiannon pod ramię i odprowadził do furtki.

- Nie chciałbym cię tracić z oczu - powiedział z uśmiechem.

- Sklep...
- Wiem. I moje ciotki - sięgnął do kieszeni i wyciągnął kluczyki. - Weź mój samochód.

- Dzięki - miała nadzieję, że nie usłyszał westchnienia ulgi, jakie się jej wymknęło. Gorączkowo pragnęła zostać sama.

- Później przyjadę jednym z samochodów ciotek.
- Co masz na myśli?
- Sądzisz, że przepuszczę Zaduszki z tobą? Nigdy w życiu.

Musnął jej usta pocałunkiem. Zamknęła oczy z całej siły, broniąc się przed nieuchronnym przyływem słabości. Czy ciągle musi ją całować?

- Zostanę tu z nimi i dopilnuję, żeby doszły do siebie - powiedział. - Zadzwoń też do mojego biura, żeby zaczęli

dochodzenie od tamtej strony. Koło wieczora powinienem się pojawić w sklepie.

Kiwnęła niepewnie głową. - W samą porę na poczęstunek i kawały.

- Czym mnie poczęstujesz? - zapytał, przyciągając ją do siebie.

- Już ci mówiłam, że mam ciasteczka - udała, że nie rozumie.

- Ciasteczka są dobre dla dzieci. Ja mam na myśli poczęstunek specjalnie dla mnie. Coś w rodzaju ostatniej nocy na przykład. Chociaż trudno sobie wyobrazić, by coś takiego można powtórzyć. Mimo wszystko mam ochotę spróbować. Całe moje życie chcę poświęcić tym próbom. Co ty na to?

- Naprawdę muszę już iść - powiedziała wymijająco.

- Rhiannon, o co chodzi kochanie?

- O nic.

- Och, daj spokój. Przypominam sobie, że już wcześniej chciałaś mi coś powiedzieć.

Potrząsnęła przecząco głową.

- A zatem nie mam wyboru. Idź, jeśli musisz, ale wieczorem, kiedy będzie już po wszystkim, porozmawiamy. Zgoda? - skrzywił się zniechęcony.

- Zajmij się ciotkami.

Tak jak przypuszczała, popołudnie zleciało jej bardzo szybko na poprawianiu i reperowaniu kosmitów. Mała wróżka z bajki złamała czarodziejską pałeczkę na głowie swego brata, więc potrzebna była nowa. Nieco większemu urwisowi zatrasnął się kask hokejowy. Prześcieradła Kacpra zafarbowały na różowo, ponieważ małżonka wrzuciła je do pralki razem z czerwonymi skarpetkami. Rhiannon bez trudu znalazła nowy komplet. Czerwony Kapturek zgubił kapturek i tak dalej.

Ludzie wpadali na chwilę, żeby pogawędzić i podyskutować o szansach na pojawienie się Johna Millera. Wszyscy pytali o Noaha.

Nastrój podniecenia narastał, w miarę jak gęstniał mrok. Uwielbiała ten absurdalny dzień, w którym z dorosłych wychodziły dzieci, a dzieci szalały z radości. Wszystko to było tak niepodobne do surowej atmosfery baz wojskowych, gdzie się wychowywała.

Ledwie zdążyła się przebrać w swój kostium, kiedy przyjechał Noah.

- Aaach - jęknął z zachwytu.

Jej kreacja musiała pochłonąć całe kilometry jedwabiu, koronki i wstążek. Składała się z długiej sukni bez ramiączek i bolerka z długimi rękawami. Całość, wyszywana cekinami w kształcie księżyców i gwiazdek, migotała i lśniła przy każdym ruchu.

- Zawsze uważałam, że współczesne czarownice powinny być eleganckie.

- Ty po prostu jesteś seksowna. Na kogo dzisiaj zamierzasz rzucić urok?

- Nie zajmuję się rzucaniem uroków - powiedziała stanowczo.

- Załóżmy się? To, że jestem tutaj zamiast w Nowym Jorku, jest tego najlepszym dowodem. A jak już przy tym jesteśmy... - zawahał się nie mając pewności, czy rzeczywiście chce poznać odpowiedź. - Co to właściwie są te dziwne łożyki i liście, które trzymasz w szklanych słojach?

- Łozyżki i liście? - zaciekawiona poszła za jego spojrzeniem i wybuchnęła śmiechem. - Nigdy nie widziałeś potpourri?

- Po - co?

Sięgnęła po słoje, odkręciła pokrywę i podała mu.

- To są mieszanki ziołowo-korzenne. Tworzenie rozmaitych kombinacji jest moim hobby. W tym jest mieszanka na bazie cynamonu. Dobra do wszystkiego. Powąchaj - podsunęła mu słoik pod nos, widząc, jak nieufnie spogląda na zawartość.

- Masz rację - powiedział niuchając ostrożnie. Pomyślał rozbawiony, że niestety nadal potrzebuje wyjaśnień, chociaż niewątpliwie robił postępy. Początkowo tajemnice Rhiannon napawały go przerażeniem, teraz zaczynał je traktować normalnie.

- Jak się miewają Esme i Lawinia - zapytała odstawiając słoik na półkę.

- Doskonale. Wróciły do dawnej formy. Kiedy wychodziłem, rozłożyły się ze swoim kramem przed furtką. Myślałem, że zabawa odbywa się w mieście, a tu się okazuje, że liczą na sporo gości.

- Tak, dzieciaki włóczą się po całej okolicy na koniach i w samochodach.

- Świetnie. Mam nadzieję, że dzieciaki będą się dobrze bawiły. Ja osobiście chciałbym zaszaleć.

Otoczył ją ramieniem z zamiarem całowania jej tak długo, aż straci oddech i ulegnie. Powstrzymały go jedynie dobiegające z ulicy dzikie wrzaski młodych ludzi: „coś do żarcia albo śmierć”.

Przez następnych parę godzin plac zaludniały duchy i duszki, smoki i potwory. Szaleństwo było zaraźliwe i Rhiannon w towarzystwie Noaha dołączyła do rozbawionego tłumu, choć gdzieś głęboko w duszy tkwiła nadal bolesna zadra. Miłosna noc wytrąciła ją z równowagi. Czuła się jak motyl, który dopiero co uwolnił się z kokonu, niezwykle wrażliwy na wszelkie nowe bodźce.

- Zamykam. Chyba wszyscy już byli.

- Naprawdę?

Noah wyszedł przed sklep i rozejrzał się po prawie opustoszałym placu.

Rozczarowanie jakie usłyszała w głosie Noaha zirytowało ją.

- Jest już późno. Twoje ciotki czekają na ciebie.

Zatrzasnął drzwi od sklepu i zamknął na klucz.

- Uprzedziłem, żeby na mnie nie czekały, bo wrócę dopiero rano.

Serce waliło jej ze strachu i podniecenia. Miała taki zamęt w głowie, że nie sposób było rozdzielić te uczucia.

- A co one na to?

- Tak jak bym powiedział, że idę kupić mleko na śniadanie. Trudno powiedzieć, czy wiedzą, że noc spędzę u ciebie. Chciałbym wierzyć, że nie. Może są tylko szczęśliwe, że jeszcze trochę zostają.

Spędzić z nim noc. Na samą myśl o tym wpadła w panikę. Zaczęła wchodzić po schodach w pełni świadoma, że on idzie za nią.

Nie mogła uwierzyć, że tak szybko, bez żadnego wahania uległa jego urokowi.

Zawsze trafiała w dziesiątkę, sądziła więc, że częściowo usprawiedliwia ją to, że namiętność jaką wzbudził w niej Noah przyszła tak niespodziewanie. Teraz jednak musiała stanąć wobec uczuciowych konsekwencji tej namiętności i bynajmniej nie była pewna, czy potrafi temu sprostać.

Na górze poszła do kącika sypialnego, zdjęła bojerko i powiesiła na parawanie.

Noah obserwował ją zastanawiając się, co ją tak martwi, bo przecież nie miał zamiaru tego zignorować. Rozpierzająca go radość po prostu nie dawała się poskromić i trudno mu było pojąć, że mogą istnieć jakieś zmartwienia. Czuł się, jakby dostał gwiazdkę z nieba i zapomniał, że Rhiannon nie jest zwyczajną kobietą. Ale teraz sobie przypomniał.

- Pora już, Rhiannon. Jeśli coś się dzieje, to chyba zasługuję na to, byś mi powiedziała.

- Masz rację. Nie jestem z tobą szczerą.

Chwyliła się jednego z łańcuchów podtrzymujących łóżko, szukając oparcia w solidnym, zimnym metalu.

- Jest parę rzeczy, o których muszę ci powiedzieć. Kłopot w tym, że nie wiem, czy mnie zrozumiesz. A ja prawdopodobnie nie zdołam ci tego dobrze wytłumaczyć...

- Spróbuj Rhiannon...

Przygryzła dolną wargę i namyślała się chwilę.

- No dobrze. Słuchaj. Nie byłam przygotowana na to, co się stało wczoraj. Myślałam, że tak, ale nie byłam.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał, ściągając brwi.

- Nie jestem pewna i w tym problem. Prawdę mówiąc, nie jestem już pewna niczego. Miałam ochotę, chciałam pójść z tobą do łóżka, ale nagle wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

Kiedy była mała jej życiem kierowała Marynarka Stanów Zjednoczonych wyznaczając miejsce i czas pobytu jej ojca, a więc i jej samej. Było to dla niej źródłem ciągłego niepokoju. Wówczas nie mogła nic na to poradzić, ale teraz było inaczej.

- Wymknęło się spod kontroli - powtórzył w zamyśleniu.

- A to dobre, więc już nie walczę sam?

- Wcale nie walczysz - zrezygnowana machnęła ręką.

- I to cię martwi?

- Przytłaczasz mnie - głos jej się załamał. - Przeraza mnie to, co do ciebie czuję.

- A ja myślałem, że po prostu cię kocham.

- Więc przestań.

Drgnął, jakby go uderzyła i cała radość wyparowała w jednej chwili. - Myślę, że rozumiem. Bawiło cię, dopóki robiłem z siebie idiotę gapiąc się z otwartą gębą na ciebie i twoje tajemnicze otoczenie. Czy tak? Bawiłaś się ze mną w

kotka i myszkę - zaśmiał się nieprzyjemnie. - Użyłem złego porównania. Na myszki polują zwykłe koty. Ty i Graymalkin lubicie bardziej egzotyczne rozrywki, nieprawdaż?

- Gadasz same głupoty, Noah.

- Przykro mi, ale się nie zgadzam. Bawiło cię wodzenie za nos superkonserwatywnego adwokata z wielkiego miasta. Posłałaś po mnie i wiedziałaś, że twoje sztuczki podziałają. A kiedy już zwyciężyłaś, dalej cię nie interesuję. Dobrze. Teraz wszystko jasne.

- Nie, wcale nie - krzyknęła prawie. - To nieprawda.

- Aha. A więc mogę zostać i będziemy się kochać, a potem układać wspólne plany na przyszłość?

- Nie - nigdy w życiu nie czuła się równie paskudnie.

- Jasne.

Całą gorycz zawarł w tym jednym słowie. Wpatrywał się w nią długo w milczeniu.

- Jeśli sądzisz, że podziękuję ci za doświadczenie i pokornie wyjadę do Nowego Jorku, to się mylisz, moja droga. Nie pozwolę ci zwiać. Musisz przyjąć do wiadomości, że to, co było między nami, trwa nadal.

Co za ironia. Powtarzał jej własne myśli. Aż do ostatniej nocy chciała przecież, żeby przyznał, że go pociąga i żeby skapitulował. Nie mogła go winić, ale świadomość, że on ma rację, wcale jej nie pomagała.

- Zgoda. Narobiłam głupstw. Nigdy w życiu chyba nie przytrafiło mi się nic równie idiotycznego.

- Domyślam się, że chodzi ci o noc spędzoną ze mną - powiedział złowieszczo spokojnym tonem.

- Nie mam żadnego wytłumaczenia, mogę cię tylko przeprosić.

- Za co? - wybuchnął. - Za to, że doprowadziłaś mnie do szaleństwa i nie zostało mi nic innego, jak zaciągnąć cię do

łóżka? Zapomnij o przeprosinach, nie zamierzam ich przyjmować.

- Będziesz musiał, Noah, bo chwilowo jest to jedyne, co mogę ci ofiarować.

Doskoczył do niej, złapał za ramiona i przydusił ją do siebie.

- Mylisz się. Będziesz mi dawać i dawać, i prosić o jeszcze, choćbyś już nie mogła.

- Noah, przestań - krzyknęła, odpychając go gwałtownie.

Nagle zgasło światło. Słowa Rhiannon rozplynęły się w ciszy. Noah zaklął i popatrzył w okno. - Wszędzie jest czarno. Masz jakieś świece i zapalki?

- Zaraz znajdę - westchnęła Rhiannon. Po omacku dotarła do małego stolika, gdzie trzymała zapalki i kilka świec.

Zanim zapłonęła druga świeca, Noah był już obok. - Daj, ja zapalę resztę.

Chcąc uniknąć dyskusji, usiadła na łóżku. Po chwili podszedł Noah i opierając jedno kolano na brzegu przyglądał jej się z góry. - Nie można cię denerwować, prawda? - zapytał pojednawczo.

- Noah, nie mam nic wspólnego ze światłem. Jesteśmy na wsi, to się często zdarza...

- Oczywiście, oczywiście...

- Noah, przestań mnie traktować protekcyjnie.

- Hej, co z tobą, uwielbiam rozsądne wyjaśnienia.

Sarkazm tych słów sprawił, że zadrżała.

- Nie obchodzi mnie, czy światło wysiadło przez ciebie, czy nie. Możesz je gasić i zapalać do woli. I tak nie zapomnę tego, co było i tobie też nie dam zapomnieć.

- Idź już, proszę cię, idź.

- Pójdę, ale najpierw... Przewrócił ją i przydusił do łóżka.

- Noah, nie...

- Muszę - powiedział szorstko usuwając z drogi warstwy czarnego jedwabiu i koronki. - Muszę sobie udowodnić, że wczorajsza noc to nie tylko moja fantazja i czary...

Wmawiała w siebie, że nie chce, ale chociaż usiłowała odepchnąć jego biodra, przyjmowała i oddawała gorące pocałunki. Nic na to nie mogła poradzić. Gorący dreszcz podniecenia działał zdradziecko i ogarniał powoli każdą część ciała.

Podciągał całą skomplikowaną konstrukcję sukni systematycznie do góry, aż dotknął palcami wewnętrznej strony ud i wsunął rękę pod majtki.

Krzyknęła, lecz był to krzyk pożądania, nie protestu. Płakała z bezsilności, przywierając do niego coraz mocniej, coraz mocniej go pragnąc.

Jedno dotknięcie powiedziało Noahowi, że jest gotowa. Szarpnął zamek od spodni, ułokował się między jej nogami i wszedł w nią. Rhiannon wzięła głęboki oddech i wyginając do góry biodra wyszła mu naprzeciw.

Czarne cekinowe gwiazdy i księżycy rozbłyskiwały w świetle świec przy każdym ich ruchu. Stracili wszelką kontrolę.

Obudziło ją stukanie okiennic. Siadła podciągając prześcieradło. Noah, ubrany, stał oparty o ścianę koło okna.

- Jest już prąd - powiedział spokojnie. - A na dole znowu jakiś małolat udaje Johna Millera. Najlepszy dowód, że w tym mieście nie ma nic prawdziwego.

Zabolała ją gorzka nuta w słowach Noaha. Wiedziała, że nie chodziło mu o ducha Johna Millera, ale sama cierpiała i przynajmniej na razie nie potrafiła zebrać siły i odwagi, by o tym mówić.

- John Miller może jeszcze przyjść.

- Skąd u licha możesz mieć pewność: przyjdzie, czy nie przyjdzie. Powiedziałaś przecież, że nie będziesz patrzyła.

- Nie. Nie będę - powiedziała, oddychając głęboko.

- No właśnie - odsunął się od ściany i popatrzył niewidzącym wzrokiem po pokoju.

- Wiesz, twój sklep ma świetną nazwę. Iluzje. Nic tu nie jest prawdziwe. Myślałem, że dotykam twego ciała, a to było powietrze - przerwał. - Nie będę cię przeproszał za to, co się stało przed chwilą.

Wstała owijając się w prześcieradło. - Nie pamiętam, żebym cię o to prosiła.

Skinął głową. - Nie musisz mnie także prosić, żebym sobie poszedł, bo właśnie wychodzę.

- Dokąd?

- Czy to ważne?

Jej milczenie uznał za odpowiedź.

Noah spojrział na zegarek w świetle lampy na ganku domu babki Rhiannon. Było pół do trzeciej nad ranem i nikogo wokół. Doszedł do wniosku, że o tej porze może liczyć jedynie na towarzystwo swoich własnych myśli. Ułożył się na wiklinowej sofie przykrywając się kocem, który wziął z samochodu. Nie chciał wracać do ciotek z obawy, że się obudzą i będą chciały pogadać. To miejsce było równie dobre jak każde inne, żeby pomyśleć o nim i Rhiannon. Wygodna sofa, ciepły koc. Teraz musi tylko zapomnieć o dręczącym go bólu i zastanowić się co dalej.

Wiedział już, że popełnił gruby błąd zmuszając Rhiannon do kochania się z nim.

Była jak żywy ogień w jego ramionach, chociaż niejasno zdawał sobie sprawę, że oddawała się wbrew swojej woli. Potem zakłopotanie i złość nie pozwoliły mu zbliżyć się do niej.

W rogu ganku coś się poruszyło. Odwrócił głowę i dostrzegł Graymalkina. Nie zdziwiło go pojawienie się kota,

tyle już razy się spotykali, tym razem jednak wiedział, że nie przysłała go Rhiannon.

- Jestem na niewłaściwym miejscu, prawda? - zapytał cicho Graymalkina, przypominając sobie, jak nieufnie kot reaguje na nagłe zmiany w swoim świecie.

Oczy Graymalkina płonęły niepokojącym bladoniebieskim światłem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Noahowi, potem podreptał w kółko i zniknął w ciemnościach.

Noah popatrzył za nim. Często porównywał Rhiannon z Graymalkinem. Być może byli do siebie jeszcze bardziej podobni, niż sądził. Może nawet bardziej, niż ona sama sądziła.

Obserwując Graymalkina nauczył się, że koty lubią być tam, gdzie im wygodnie. Potrzebują własnego miejsca i swobody. Prawdopodobnie jak jej zwierzaki, Rhiannon żyła swobodnie, wedle swego gustu, aż pojawił się on. Spotkali się i ich światy stanęły do góry nogami.

Zanim nie poszli do łóżka, sądził, że jedynym problemem jest jego opór wobec jej magicznej mocy. Mylił się. Widocznie za szybko zaczął snuć plany, jego zaborczość przeraziła ją tak, jakby wpadła w pułapkę.

Czyż jednak nie była to normalna reakcja zakochanego mężczyzny? Najzupełniej normalna. A może tu właśnie tkwiła przyczyna? Rhiannon nie jest normalna.

On tak.

Do diabła. Może powinien po prostu wrócić do Nowego Jorku i koniec.

Jej opanowanie denerwowało go od samego początku, podobnie jak to, że przyglądała mu się tak, jakby doskonale wiedziała, co czuje i to ją bawiło.

Nagle coś sobie przypomniał. Z jej oczu zniknął spokój. Dzisiaj w jej zachowaniu nie było śladu poprzedniej pewności. Dlaczego?

Spojrzał w ciemność. W dniu, w którym przyjechał, powiedziała: Ile razy już się zadomowiłam i przyzwyczaiłam, zaraz trzeba było pakować walizki.

Nie musiała się wdawać w szczegóły, żeby zrozumiał, jak przykre dla małej dziewczynki musiały być nieustanne pożegnania z przyjaciółmi.

Wróciła do Hilary, do jedyne go pewnego miejsca, jakie знаła i stworzyła sobie krainę, gdzie mogła żyć, tak jak chciała, nie narażając się nikomu. Tutaj nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Aż do momentu, gdy pojawił się on.

Początkowo nie bała się, nie sprawiał jej przecież kłopotów, poddając się urokowi zgodnie z jej wolą. W pewnym momencie odkryła jednak, że on i związane z nim uczucia nie pasują do jej wygodnego, bezproblemowego życia.

Noah uśmiechnął się. Rozumował poprawnie. Zaczynam cię rozumieć Rhiannon i jeśli w ogóle kiedykolwiek cię do końca rozgryzę, to będziesz bez szans.

Podjął decyzję. Zostanie w Hilary tak długo, dopóki się do niej nie dopasuje. Będzie postępował spokojnie i powoli. Da jej czas, żeby mogła dokładnie zbadać ich sytuację ze wszystkich stron i oswoić się z nim i jego uczuciami, tak jak Graymalkin oswoił się z przestawionym fotelem.

Na ganku znowu się coś poruszyło. Spodziewając się powrotu Graymalkina, Noah odwrócił głowę i ujrzał Rhiannon. Poza jasnymi włosami i twarzą, cała roztapiała się w ciemności.

Zbliżała się ostrożnie, najwyraźniej gotowa do ucieczki przy najmniejszym ruchu z jego strony.

Przez moment zastanawiał się, jak go tu znalazła, ale postanowił się tym nie przejmować. Z tego co wiedział, mógł ją przyprowadzić Graymalkin. Może przychodzi tu często,

kiedy potrzebuje pomyśleć. Nieważne. Ośmielał go fakt, że niezależnie od tego jak go znalazła, musiała działać pod wpływem głęboko ukrytej potrzeby bycia z nim.

Zmusił się do bezruchu i milczenia, co Rhiannon wynagrodziła mu siadając obok mego. Rozłożył koc tak, aby przykrywał ich oboje, a Rhiannon położyła mu głowę na ramieniu.

Milczeli. W oddali pohukiwała sowa. Czas płynął. Doczekali razem do wschodu słońca, który zabarwił horyzont pięknymi, łagodnymi kolorami.

Wtedy Rhiannon odeszła.

Rozdział 7

- Co się stało, kochanie - spytała Lawinia patrząc na Noaha. - Nie lubisz wołowiny?

Drgnął i spojrzał na talerz. Dziubał widelcem kanapkę z wołowiną zostawiając pośrodku kromki chleba dziurkowaną linię.

- Nie. Uwielbiam wołowinę.

Spał do południa, odświeżył się w kąpieli i zmienił ubranie, lecz nie potrafił wykrzesić z siebie ani odrobiny entuzjazmu dla jedzenia.

- Kanapki są świetne. Chyba po prostu nie jestem głodny.

Esmé nalala mu szklankę mrożonej herbaty. - Wczoraj, kiedy powiedziałeś, żeby na ciebie nie czekać, miałyśmy nadzieję, że sprawy idą dobrze.

- Ale wygląda na to, że się pomyliłyśmy - powiedziała Lawinia ze smutną miną.

- O czym wy mówicie - zapytał Noah ostrożnie.

- O tobie i Rhiannon - powiedziały obie na raz.

- Doceniam wasze intencje, ale... - odsunął talerz.

- Bardzo nas to obchodzi i chcemy wiedzieć...

- ...jak idą sprawy - dokończyła Esmé, opierając łokcie na stole.

- Tak. Opowiedz nam - poprosiła Lawinia.

- Powiedzmy, że do końca pobytu będę spał w waszym pokoju gościnnym.

Siostry wymieniły rozczarowane spojrzenia.

- Och, kochanie.

- To zły znak.

- Dla Rhiannon i dla mnie - zgodził się Noah. - Ale będę miał więcej czasu na wasze sprawy. Teraz, kiedy skończyły się Zaduszki, będziemy mogli oddzielić dziwne i niesamowite wydarzenia związane z karnawalem od dziwnych i

niesamowitych wydarzeń, które ktoś prowokuje, bo chce kupić ziemię.

- Chciałabym zobaczyć tego ptaszka, który się odważy wypłoszyć nas z naszego domu - Esme uderzyła drobną pięścią w stół.

- Z naszego domu - powtórzyła jak echo Lawinia.

- Rzecz w tym, że ktoś może spróbować. W takim przypadku wolałbym, byście nie były same.

- Nie martw się. Nie tak łatwo nas przestraszyć - powiedziała Esme klepiąc go uspokajająco po ręce.

- Mamy całkiem dobrą strzelbę po tatusiu. Nadaje się na lisy i na złodziei.

Noah spoglądał to na jedną, to na drugą ciotkę cokolwiek zbity z tropu. - Nie boicie się?

- Nie, na Boga.

- Absolutnie nie.

- Przysięgłbym, że z listu wynikało, że się martwicie!

- No cóż.

- Martwiłyśmy się.

- O ciebie.

- O mnie?

- Wiedziałyśmy, że za dużo pracujesz, twoja matka stale o tym mówiła.

- Nie mówiąc już o tym, że nie podobały jej się twoje przyjaciółki.

- Tak się bała, że ożenisz się z którąś z nich. Poza tym żadna z nas nie była - jakby to powiedzieć - przerażona.

Za to Noah był przerażony. - Nie znacie żadnej z tych kobiet - jęknął słabo.

- Twoja matka o nich opowiadała.

- Wiedziałyśmy, że jak przyjedziesz i poznasz Rhiannon, to wszystko się ułoży. Ożenisz się i usatkujeś, przestaniesz się przepracowywać... tylko, że nie przyjeżdżałeś.

- Więc postanowiliśmy napisać i opowiedzieć ci o naszych drobnych kłopotach z ziemią.

- Drobnych kłopotach?

- Cóż, jest to kłopot - przyznała Esme. - Ale jednak niewielki.

- Jesteśmy po prostu ciekawe.

Całą długą minutę rozważał problem, czy dwunastu zdrowych na umyśle ludzi skazałoby go na krzesło elektryczne, gdyby teraz udusił swoje ciotki gołymi rękami, a także czy warto się przejmować tą perspektywą.

- A więc, powiedz nam, Noah...

- ...co się stało między tobą a Rhiannon? Odsunął krzesło i wstał.

- Pójdę zadzwonić, potem pojedę do miasta. Nie czekajcie na mnie z kolacją.

Kiedy wyszedł, Esme spojrzała na siostrę. - Nie sądzisz, że się trochę zdenerwował?

- Nieee. A czym miałyby się zdenerwować?

Noah siedział w Niebieskiej Gospodzie nad filiżanką kawy i rozmyślał. Hilary wyglądało prawie normalnie. Prawie - bowiem wciąż jeszcze utrzymywała się atmosfera pewnego podniecenia. Nikt nie zrezygnował do końca z nadziei na pojawienie się ducha Johna Millera i jakoś go to nie dziwiło.

Obserwował jak ludzie wchodzą i wychodzą z gospody. Wydawali się dziwni bez swoich kostiumów. Poznał Człowieka Ośmiornicę, Godzillę i Czerwonego Kapturka, a teraz będzie musiał nauczyć się ich imion od nowa.

- Może kawałek szarlotki - zapytał Jeremiasz Blue podchodząc do Noaha. - Moja żona upiekła dziś rano świeżą.

Noah rozważył propozycję zjedzenia szarlotki bez żadnych uprzedzeń. Nigdy w życiu nie spędzał czasu na absolutnym nieróbstwie, nie miał zatem doświadczenia.

Ostatecznie jednak doszedł do przekonania, że zjedzenie szarlotki będzie równie dobre, jak co innego dla zabicia czasu.

- Owszem - powiedział.

Właśnie kończył kawę, kiedy Jeremiasz przyniósł ciasto.

- Cieszę cię, że nadal jesteś z nami. Ktoś mówił, że chcesz wyjechać przed Zaduszkami, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przepuściłby Zaduszek. Noah kiwnął głową. - Tak sobie pomyślałem.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować - Jeremiasz poklepał go po ramieniu i zbierał się do odejścia. - Dzień dobry Rhiannon.

Noah poderwał głowę i zobaczył idącą ku niemu Rhiannon.

- Co ci podać kochanie - zapytał Jeremiasz, kiedy podeszła bliżej.

- Ja dziękuję. Mogę się przysiąść, Noah?

- Oczywiście.

Usiadła naprzeciw niego trochę blada, lecz spokojna. Nie udało mu się nic wyczytać z jej oczu, mimo to uznał jej obecność za dobry znak. Postanowił czekać cierpliwie.

Spoglądała na niego spod rzęs zbierając się na odwagę. Po tym jak się kochali, nie mogła znieść jego obecności. Kiedy wybiegł od niej, zrozumiała, że nie wytrzyma bez niego. Jeździła po okolicy dopóki nie natknęła się na jego samochód. Godziny spędzone z nim na ganku domu jej babki ukończyły jej nerwy. Tego właśnie potrzebowała. Rozumiała jednak, że nie powinna oczekiwać, że taki nastrój będzie trwał wiecznie. Za dużo było między nimi namiętności. Za dużo bolesnych wrażeń.

Chciała się przekonać co gorsze: mieć go, czy nie mieć.

- Myślałam, że zainteresuje cię wiadomość, że wrócił Clifford Montgomery - zaczęła ostrożnie.

- Adwokat, który wysyłał oferty? - Noah natychmiast skojarzył nazwisko.

- Tak.

- Dobrze. Złożę mu króciutką wizytę.

- Pójdę z tobą - oświadczyła Rhiannon.

- To nie jest potrzebne - powiedział szybko. Jakiś wewnętrzny głos go ostrzegał.

- Zapominasz, że tu chodzi także o ziemię mojej babki. Nie chciałabym, żeby wracała, zanim sprawa się nie wyjaśni.

- No dobrze. Będzie nawet lepiej, jeśli pojedziesz ze mną. Zna ciebie, może będzie bardziej swobodny w twojej obecności. - Chcesz kawałek? - podsunął jej talerz z szarlotką.

Zawahała się, potem wzięła jego łyżeczkę i spróbowała.

- Dzięki. Uwielbiam szarlotkę Marty.

- Esme i Lawinia zaskoczyły mnie dzisiaj rano - powiedział obojętnym tonem, przyglądając się Rhiannon uważnie. - Wcale się nie boją tej afery z ziemią. Są po prostu ciekawe.

- A co z tym listem do ciebie? - zdziwiła się Rhiannon.

- Okazuje się, że miały inny powód. Chciały, żebym ciebie poznał.

- Ooo - odłożyła łyżeczkę i wsunęła się głębiej w krzesło. - Nie wiedziałam.

- Nie myślałem, że wiedziałaś. Niezłe spryciary z tych moich ciotek.

- Będą więc podwójnie zawiedzione, kiedy wrócisz do domu - powiedziała patrząc w obrus.

- Nie ma obawy. Jakoś to przeżyją. Idziemy do pana Montgomery?

- Rhiannon! Wejdz proszę - powitalny uśmiech rozjaśnił puciołowatą twarz adwokata, gdy stanął na progu. - Miło, że wpadliście.

- Dziękuję Cliffordzie - Rhiannon odwzajemniła uśmiech.
- Pozwól, że ci przedstawię Noaha Braxtona.

- Co? Jest pan siostrzeńcem Esme i Lawinii?

Noah zawahał się, czy nie byłoby lepiej nie przyznawać się do koligacji, ale w końcu uznał, że nie ma nic do ukrycia.

- Tak. To ja.

- Bardzo się cieszę - adwokat potrząsnął energicznie ręką Noaha.

- Jak się miewa twoja matka, Cliffordzie? - spytała Rhiannon.

- Dużo lepiej. Straszna grypa. Zostałem trochę dłużej na wypadek, gdyby nastąpił nawrót. Bardzo żałuję, że straciłem Zaduszki. Jak było?

- Wspaniale jak zwykle, chociaż John Miller jeszcze się nie pojawił.

Adwokat potrząsnął głową i cmoknął z dezaprobatą. - Tak, słyszałem. Co za wstyd. Wszyscy bardzo na niego liczyli w tym roku.

- Może jeszcze się pojawi, przecież już nieraz się spóźniał.

- Pana ciotki wszystko mi o panu opowiedziały - Clifford uśmiechnął się do Noaha. - Praktyka w Nowym Jorku musi być fascynująca. To nie to co u nas. Wie pan, Esme i Lawinia są z pana dumne.

Ze skrzywionej miny Noaha Rhiannon łatwo wydedukowała, że chwilowo ciotki nie są jego ulubionym tematem.

- Cliffordzie, Noah chce z tobą porozmawiać o sprawach zawodowych.

- Ach tak. Zatem siadajcie. W czym mogę pomóc?

Kiedy usadowili się już w skórzanych fotelach naprzeciw biurka, Noah zauważył, że kancelaria Montgomery'ego jest bardzo elegancko urządzona. Spodziewał się czegoś bardziej

prowinjonalnego. Za oknem po trawniku skakały dwie wiewiórki. Ładny widok.

- Chciałbym porozmawiać na temat oferty jaką otrzymały moje ciotki.

- Czy są zainteresowane sprzedażą?

- Nie. Interesuje je, kto chce kupić.

- Obawiam się, że nie mogę udzielić takiej informacji.

Przynajmniej na razie. To sprawa poufna.

- Panie Montgomery...

- Proszę mi mówić Clifford.

Noah przyzwyczał się już do bezpośredniości mieszkańców Hilary. Obawiał się, że tak jak przeżył rodzaj szoku kulturowego w pierwszych dniach pobytu tutaj, tak czeka go następny szok po powrocie do Nowego Jorku.

- A więc Cliffordzie, nie rozumiem, jak jako prawnik możesz tolerować podobne historie. Jestem pewien, że Izba Adwokacka Wirginii zainteresuje się...

Clifford puścił mimo uszu groźbę Noaha, skupił się natomiast na wcześniejszej uwadze. - Tolerować? Niby co mam tolerować?

Do rozmowy włączyła się Rhiannon:

- Z pewnością wiesz, że wszystkie osoby, które zgodziły się na sprzedaż swojej ziemi, zostały do tego w pewien sposób przymuszone.

W miarę jak opisywała kolejne wydarzenia, twarz Clifforda robiła się coraz bledsza.

- Zapewniam was, że nic o tym nie wiedziałem.

- Może to prawda - powiedział Noah. - Sądzę jednak, że twój klient dobrze wiedział.

Clifford wiercił się niespokojnie na swoim fotelu, ale się nie poddawał. - To, że się wie, nie oznacza jeszcze winy.

- Nie - zgodził się Noah. - Lecz twój klient miał powody, a powody prowadzą do winy. Dlatego chcemy, byś nam wyjawiał nazwisko twego klienta.

- Chyba nie chcesz, żebym zawiódł zaufanie klienta, Noah - nastroszył się Clifford. - Dlaczego myślisz, że ja to zrobię?

Noah musiał przyznać mu rację. Clifford Montgomery mógł być prowincjonalnym adwokatem, ale z punktu widzenia etyki zawodowej postępował słusznie nie ujawniając nazwiska klienta.

- Masz rację, nie zdradzając zaufania klienta. Chciałbym jedynie, byś nakłonił twego klienta do zrewidowania jego planów. W grę wchodzi posiadłość moich ciotek i babki Rhiannon. Uprzedzam, że nie zamierzam siedzieć cicho, jeśli coś, powiedzmy dziwnego, przytrafi się im samym albo na farmie.

- Rozumiem - Clifford wstał nieco raptownie. - Dziękuję za wizytę. To co powiedziałaś, jest bardzo... interesujące.

Noah wstał i uścisnął wyciągniętą dłoń adwokata. Po chwili wyszli z biura. Był piękny słoneczny dzień.

Rześkie, krystaliczne powietrze zaostrzało wrażenia. Kolory były tak żywe, jakby je ktoś przed chwilą wypolerował, zapachy wyraźne i czyste. Pomyślał, że gdyby wrócił do Nowego Jorku, tkwiłby teraz po uszy w robocie uwięziony w betonowym wieżowcu, nie zauważając nawet wspaniałej pogody. Porównał w myśli wartość tego dnia i wartość pracy i stwierdził ku swemu zdziwieniu, że wygrał dzień. Rhiannon rzecz jasna była elementem dnia.

- Co sądzisz o Cliffordzie? - zapytała.

- Radził sobie lepiej, niż mógłbym przypuszczać, chociaż był zmartwiony. Z pewnością przekaże nasze sugestie swemu klientowi. Wątpię jednak, czy to poskutkuje. Ten ktoś nie

wtajemniczył go w swoje plany, bo wiedział, że Clifford ich nie zaaprobuje.

- Zgadzam się, ale co teraz?

Im bardziej zbliżali się do sklepu, tym wolniej się posuwali. Wzruszyła go zmartwiona mina Rhiannon, ale musiał się zadowolić jedynie słownym pocieszeniem.

- Nie przejmuj się. Mark, mój współpracownik, któremu zleciłem zbadanie sprawy, na pewno coś wygrzebie. Tymczasem twoja babka dobrze się bawi u swojej siostry, a ja jestem tutaj, by chronić moje ciotki.

- Po zeszłej nocy nie byłam pewna... - Rhiannon spojrzała w dal.

- Już ci powiedziałem, że zostanę tak długo; jak będę mógł. Nic się nie zmieniło. Nie miałem pojęcia, że Esme i Lawinia tak bardzo się troszczą o moje szczęście - uśmiechnął się znacząco. - Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby się nie martwiły.

- Oczywiście, rozumiem - zwilżyła dolną wargę językiem.

Miał wrażenie, że znowu czaruje. Bardzo chciał ją przytulić. Uczucia mocowały się z dyscypliną, jaką sam sobie narzucił. Nakazał sobie zająć się czymś przyziemnym.

- Dziękuję, że przyszłaś mnie zawiadomić o powrocie Montgomery'ego.

- Och, naprawdę nie ma za co.

Jesienny wiatr bawił się włosami Rhiannon układając jasne kosmyki tak, jak mu się podobało. Noah patrzył i czekał. Jeśli zechce uwolnić się od niego, będzie musiała odejść pierwsza.

- Nienawidzę tej dziwnej sytuacji między nami - powiedziała, wsadzając ręce do kieszeni spódnicy.

Zdziwił go ten nagły wybuch. - Sądzę, że tak się dzieje między ludźmi, kiedy przestają się kochać - zauważył ostrożnie.

- Tak sądzisz. Masz pewnie doświadczenie w tych sprawach?

- Chcesz mnie wybadać, Rhiannon?

- Nie - westchnęła zdesperowana.

- To ty musisz mi udzielić wskazówek. Nie bardzo wiem, czego właściwie chcesz.

- Myślę, że powinniśmy znaleźć coś w rodzaju kompromisu.

- Masz na myśli zostanie przyjaciółmi? Podniosła głowę, słysząc powątpiewanie w jego głosie.

- Myślisz, że to możliwe?

Zgoda na jej propozycję stanowiłaby jeden z owych spokojnych kroków, jakie sobie zaplanował. Niestety za bardzo go obchodziła, by zdobył się na kłamstwo.

- Nie bardzo to widzę - odrzekł ponuro. - Nie w naszym przypadku.

Milczała przez chwilę, po czym, wydawać się mogło, wyczarowała z niczego sporą dozę stanowczości.

- Powinniśmy porozmawiać.

- Dobrze. Kiedy?

- Teraz - wskazała głową na skwer. - Przejdźmy się tam.

- Doskonale.

Przeszli przez brukowaną ulicę i trawnik zasłany czerwonożłotymi liśćmi. Gdy tylko usiedli na jednej z parkowych ławek, zwróciła się ku niemu z całym swoim niepokojem.

- Pewnie myślisz, że zwariowałam - zaczęła.

- Różne myśli przychodzą mi do głowy na twój temat, tylko akurat nie to - nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie mogłam tego wcześniej wytłumaczyć - powiedziała, lekko splatając dłonie. - A przynajmniej nie potrafiłam dobrze tego zrobić - i teraz chcę znowu spróbować.

- Słucham.

Spokój Noaha trochę ją denerwował. Trudno, to ona chciała tej rozmowy, chociaż nie bardzo wiedziała, co chce osiągnąć.

- Już ci mówiłam, że nie byłam przygotowana na to, co się działo, kiedy się kochaliśmy. Nie myślałam, co będzie potem. Nie uświadamiałam sobie całej gwałtowności uczuć i doznań.

Wspomnienie ich miłosnych przeżyć obudziło w nim pożądanie. Musiał zebrać wszystkie siły, by zachować spokój.

- To zrozumiałe. Byłaś dziewczicą, nigdy się nie kochałaś.

- Nie, nigdy. Mimo wszystko jestem przekonana, że gdybym poszła do łóżka z kimś innym, byłoby inaczej. To ty, Noah. Ty sprawiłeś, że tak się czułam. A potem było jeszcze gorzej. Gorzej w inny sposób - popatrzyła na swoje zaciśnięte, prawie zbielełe palce. - Poraziła mnie ta euforia zmieniająca się w rozbiecie.

Jego nadzieje rosły: ona po prostu opisywała miłość.

- Nie znałam takich uczuć - mówiła. - Nie wiedziałam, że ktoś może mieć taką moc nade mną.

Nie mógł już dłużej spokojnie słuchać.

- Nie widzisz, że ty masz nade mną taką moc? Patrzyła jak podmuch wiatru poderwał chmurę liści i poniósł ją nad trawnikiem. Zaśmiała się cicho, patrząc na te ewolucje.

- Widzę, że byłam bardzo głupia, bo nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Ujął jej podbródek i zmusił do spojrzenia na siebie. - Nie. Stworzyłaś sobie szczęśliwy świat. To dobrze. Schowałaś się w tym świecie i kiedy pojawiło się coś nowego - miłość - twoja kryjówka się zawałiła.

- Nie. Bardzo mi przykro, ale nie jestem w tobie zakochana - odskoczyła od niego gwałtownie.

Jej słowa brzmiały tak pewnie, że ze strachu, by jej nie stracić, złamał daną sobie przysięgę, że będzie cierpliwy. -

Dlaczego Rhiannon? Dlatego, że uznałaś, że kochanie mnie jest niewygodne i krępujące? Dlatego, że mącą twój spokój?

Rhiannon nie mogła wytrzymać jego wzroku. Skoncentrowała uwagę na wiktoriańskim domu z przeciwka. Był to jedyny prawdziwy dom jaki miała. To było jedyne miejsce, które mogła urządzić dokładnie tak, jak chciała, nie troszcząc się, że robi dziury w ścianach należących do Marynarki; że niszczy albo za bardzo zmienia dom kupiony przez ojca. Z konieczności zawsze trzeba było myśleć o odsprzedaży już w momencie kupowania.

Noah był bliski prawdy. Nie była w stanie powiedzieć więcej. Jej ojciec przeszedł na emeryturę w randze komandora. Od dziecka wpajał jej wojskową dyscyplinę. Nauczyła się, że nie wolno płakać ani się skarżyć. I że nigdy nie wolno za bardzo się przywiązywać do ludzi, bo przeprowadzki nieuchronnie następowały jedna po drugiej.

Tym razem nie ona będzie odjeżdżać, przeraziło ją to, że chciał ją ze sobą zabrać i dopiero teraz zrozumiała dlaczego. Kochała to miasto i wszystkich jego mieszkańców. Mimo, że przywykła trochę do ekscentryczności Hilary, nie wyobrażała go sobie tutaj. Nigdy nie zamieszkałaby w Hilary, a ona nigdy stąd nie wyjedzie. Hilary oznaczało dla niej miłość, stabilizację i poczucie bezpieczeństwa i nie zrezygnuje z tego.

Noah tarł podbródek. Milczenie Rhiannon doprowadzało go do szału. Czuł, że kończy mu się zapas anielskiej cierpliwości.

- Do diabła, Rhiannon. Powiedz coś wreszcie. Krzycz, rzuć czary, zrób coś, powiedz, co myślisz!

- Myślę, że to nie wyjdzie. Sądziłam, że rozmowa nam pomoże, myliłam się jednak - powiedziała zrywając się z ławki.

Noah skoczył na równe nogi i złapał ją za ramiona.

- Przepraszam. Och, do diabła Rhiannon, nie mogę być dla ciebie fotelem, ale...

- Czym?

- Fotelem. Mniejsza o to. Nie pozwolę ci tak po prostu odejść. Być może nie potrafię cię przekonać, ale pozwól mi spróbować.

Usiłowała się uwolnić, lecz trzymał ją mocno i nie mogła się ruszyć.

- Nie, Rhiannon. Nie odejdiesz. Rób, co chcesz, przywołaj ducha Johna Millera, sprowadź burzę w jasny dzień i tak nie odejdiesz, zanim nie spróbuję wszystkiego co w mojej mocy, żeby cię przekonać, że mnie kochasz.

- Noah...

Z ulicy dobiegło głośnie trąbienie. Rozejrzeli się i zobaczyli burmistrza Jerrego Ornetta, który przy pomocy szaleńczej gestykulacji usiłował zwrócić ich uwagę nie wysiadając z samochodu.

- Mam wrażenie, że coś się stało - zaniepokoiła się Rhiannon. Pobiegli razem przez skwer.

- Graymalkin - oświadczył dramatycznie Jerry. - Wlazł na dach mojego domu i nie może zejść.

- U ciebie? Przecież przy twoim domu nie rosną żadne drzewa. Jak się tam dostał?

- Wszedł po drabinie. Robimy ćwiczenia przeciwpożarowe ze skautami. Jestem komendantem ochotniczej straży pożarnej w Hilary - dodał burmistrz, wyjaśniająco patrząc na Noaha.

- Ach tak - zdziwił się Noah uprzejmie. Rhiannon otworzyła tylne drzwi i wsiedli oboje do samochodu.

Dom burmistrza okazał się dużym, piętrowym budynkiem o niezwykle stromym dachu. Dwudziestu skautów i siedmiu strażaków z głowami zadartymi do góry gapiło się na kalenicę. Dwóch strażaków czołgało się po samym szczycie,

każdy z innej strony. Pośrodku siedział spokojnie Graymalkin i z zainteresowaniem przyglądał się to jednemu, to drugiemu na zmianę. Jak tylko któryś z nich miał go już w swoim zasięgu, przesuwał się ociupinę dalej.

Część towarzystwa na ziemi doradzała i dodawała otuchy tym na dachu. Druga część, tak zwana większa połowa, turlała się ze śmiechu po trawniku.

- Kici, kici, koteczku - zawołał mężczyzna stojący obok Noaha.

- Już to ćwiczyłem - poinformował go Noah. - Nic z tego, nie działa.

- Noah?! Jestem Benjamin Geist. Pamiętasz? - rozpromienił się mężczyzna.

- Przykro mi, ale... - Noah potrząsnął przecząco głową.

- Człowiek Ośmiornica.

- Ach. Cześć. Jak się miewasz?

- Świetnie. Mieliśmy wspaniały dzień. Uczymy skautów zasad pepoż, spuszczenie się z pierwszego piętra i schodzenie po drabinie.

- Myślałem, że chłopcy potrafią to robić od urodzenia - Noah wyszczerzył zęby.

- Trzeba ich nauczyć, jak się to robi poprawnie.

- Tak, to co innego - przytaknął Noah ze zrozumieniem.

- Muszą się też nauczyć nie wpadać w panikę i nie tracić głowy. Wszystko szło dobrze, dopóki ten biedny Graymalkin nie ugrzął tam na górze.

Biedak. Hi, hi. Ugrzął. Ten kot dobrze wie co robi.

Noah rozejrzał się dookoła. Niedaleko na drzewie siedział Merlin i pilnie obserwował manewry na dachu. W wyglądzie ptaka było coś zastanawiającego i upłynęła dłuższa chwila, zanim uświadomił sobie co.

- Ta sowa się śmieje - wykrzyknął zdumiony odkryciem.

- Merlin nigdy by się nie śmiał z Graymalkina - wtrąciła się Rhiannon. - Wie, że Graymalkin tego nie cierpi.

- Widzicie teraz, dlaczego się martwimy - zwrócił się do nich Jerry. - Jeśli odstawimy drabinę, Graymalkin utknie na dachu i nie będzie mógł zejść.

- Z drugiej strony, jeśli zostawimy drabinę na miejscu i wszyscy sobie pójdą, to biedny kotek znudzi się i sam zlezie - zauważył słodko Noah.

Burmistrz i Benjamin Geist byli wyraźnie zgorszeni.

- Nie możemy go tam zostawić! - powiedział burmistrz.

- Może się przestraszyć i skoczyć - dodał Benjamin.

- Jeśli nawet, to potrafi fruwać - mruknął Noah.

Rhiannon obserwowała, jak Graymalkin wykiwał kolejnego strażaka, który dołączył do dwóch poprzednich. - On sobie stroi żarty!

Jerry uśmiechnął się czule. - Takie miłe, rozkoszne zwierzątko.

Zwinął ręce i wrzasnął do jednego z ludzi na dachu:

- John, spróbuj go zająć od tyłu!

John spojrział w dół na Jerrego ze zgrozą w oczach.

Noah przesunął się na środek podwórka. Graymalkin obserwował jego ruchy ze swego stanowiska na dachu.

- Graymalkin - zawołał Noah spokojnie, acz stanowczo. - Złaż natychmiast.

Kot jakby czekał na jego rozkaz. Podszedł do drabiny i zaczął schodzić głową w dół. W połowie drogi stanął wszystkimi czterema łapami na jednym szczeblu i błyskawicznym sprężystym ruchem skoczył wprost w ramiona osłupiałego Noaha. Noah miał nadzieję, że kot zejdzie, ale w najgorszym śnie nie przyszłoby mu do głowy, że Graymalkin może skoczyć w jego ramiona.

Rhiannon stanęła obok niego.

- On cię lubi.

- Owszem, lubi - zadręczać mnie.

Zrzucił kota na ziemię i, kiedy spojrział na Rhiannon, dostrzegł w jej oczach znajome radosne iskierki. Złość ulotniła się od razu.

- On cię nie dręczy, Noah. On cię lubi, chociaż wie, że ty go nie lubisz.

- I dlatego bez przerwy na mnie poluje, tak?

- Właśnie. Chce, żebyś się do niego powoli przyzwyczyła.

- Nie ma w tym ani cienia sensu - powiedział patrząc jej prosto w oczy. - Mówisz o nim tak, jakby miał doktorat z psychologii.

- On cię lubi, ja ci to mówię - Rhiannon wzruszyła ramionami.

Graymalkin oddalił się w kierunku grupki skautów, którym łaskawie pozwolił się popieścić.

Podszedł do nich Jerry. - Już wszystko w porządku. A teraz, kiedy skończyły się emocje, może zostanieie i obejrzycie resztę pokazu?

Rhiannon, unikając patrzenia na Noaha, powiedziała:

- Nie gniewaj się, muszę wracać do sklepu.

- Oczywiście. Oczywiście. Nie ma sprawy. Benjamin może cię podzucić.

- A przy okazji. Chyba będziesz musiał skrócić ćwiczenia i puścić chłopców do domu, żeby odrobili lekcje. Po południu będzie burza.

Burmistrz i Noah machinalnie spojrzeli na błękitne, bezchmurne niebo.

- Chyba tak zrobię - powiedział Jerry. - Dzięki za ostrzeżenie.

- Burza, Rhiannon? - Noah chciał się upewnić.

- Tak.

- Jesteś gotowa? - zawołał Benjamin z samochodu.

Kiwnęła głową na tak, przystanęła tylko, by rzucić okiem na Graymalkina i Merlina. Merlin wzbił się w powietrze i wziął kurs na dom. Graymalkin wymknął się swoim wielbicielom i bez pożegnania popędził w tym samym kierunku co Merlin.

Rhiannon, ująwszy z gracją rękę Noaha, poprowadziła go do samochodu.

Rozdział 8

Burza rozszalała się na dobre, kiedy kończyli kolację. Noah zaproponował, żeby wpaść do Niebieskiej Gospody, kupić coś do jedzenia i pójść do niej. Było oczywiste, że chodziło mu o przedłużenie spotkania, więc zdziwił się nieco, gdy Rhiannon przystała na ten plan. Jeremiasz Blue przygotował dwie kunsztowne porcje salcesonu brunszwickiego, dołożył kawał domowego chleba i w ostatnim momencie namówił ich na zdrową porcję pudingu ryżowego.

Za oknem grzmiało i błyskało. Noah odsunął talerz z resztkami pudingu i przyglądał się Rhiannon ze szczerym podziwem.

- Nigdy nie widziałem burzy wywołanej przez czarownicę. Jak długo będzie trwała?

- Nie wywołałam żadnej burzy. Ja po prostu powiedziałam, że po południu będzie burza - zachnęła się Rhiannon.

- Rhiannon, trudno sobie wyobrazić bardziej pogodne i bezchmurne niebo niż dzisiaj przed południem.

- Pewne znaki zapowiadały burzę - wzruszyła ramionami.

- Uhm, znaki rzecz jasna niewidoczne dla przeciętnego człowieka.

Poprawiła się na krześle i założyła ręce. - Mam wrażenie, że domagasz się wyjaśnienia.

- Byłabyś tak uprzejma?

- Och, to nic trudnego. Widzisz, jestem córką zawodowego oficera marynarki. Pogoda jest bardzo ważna dla ludzi, którzy większość życia spędzają na morzu. Mój ojciec nauczył mnie odczytywać pogodę, zanim czytałam książki.

- No, dobrze - powiedział spokojnie. Z głową pochyloną na bok i tym spojrzeniem migdałowych oczu wydała mu się bardziej niż zwykle czarująca.

- Wierzysz mi?
- Doskonale wyjaśnienie.
- Dziękuję. Wiem, jak ważne są dla ciebie logiczne wyjaśnienia, więc staram się mieć zawsze jakieś dobre wyjaśnienie pod ręką - posłała mu zapierający dech uśmiech. - Skoro ty zapłaciłeś za kolację, ja pozmywam naczynia.

Sprzątając ze stołu czuła, że mięknie. To była wspaniała przerwa w tym całym zamieszaniu, chwila wypoczynku dla jej znękaney duszy. Ogarnął ją spokój i zadowolenie. Wiedziała jednak, że ten stan nie potrwa długo. Powinna podjąć ostateczną decyzję, decyzję, która zaważy na jej życiu. Zarówno ze względu na Noaha, jak i na siebie powinna podjąć tę decyzję jak najprędzej.

Dziś po południu Graymalkin na oczach obserwującego go tłumy wybrał ramiona Noaha. Zazdrościła mu zdecydowania.

- Gdzie jest Graymalkin - spytał znienacka. Zwlekała z odpowiedzią. W jej oczach pojawił się błysk przekory. - Co, tęsknisz za nim?

- Powiedzmy, że czuję się lepiej, kiedy wiem, gdzie jest i co knuje.

- Wydaje mi się, że naprawdę go lubisz.

- Niesmaczne żarty. Jest paskudny.

Szyby zadrżały od uderzenia pioruna. Spojrzał w okno, a potem na Rhiannon. - Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

Śmiejąc się złapała ścierkę do naczyń i cisnęła w niego.

- Nadal uważam, że lubisz Graymalkina, a ostatni raz widziałam go na jego poduszce na dole.

- A tak. Niebieska satynowa poduszka na komodzie. Pamiętam ją dobrze. Niebieska satyna pasuje do jego obróżki, która pasuje do jego oczu, które pasują do twoich.

- Lubi siedzieć w sklepie.

- Nic dziwnego. Wśród tych wszystkich duchów i upiórów czuje się jak u siebie w domu.

- Dalej uważam, że go lubisz.

- Zgadzam się na wszystko - powiedział z szerokim uśmiechem. Dobrze się bawił.

Rhiannon zerknęła nagle za siebie i na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Merlin boi się burzy. Lepiej zniosę go na dół. Noah popatrzył na sowę, która swoim zwyczajem siedziała na brzegu szafy. Nie wyglądała na przestraszona. Oczywiście, nie miał pojęcia, jak wygląda wystraszona sowa, zastanawiał się tylko, skąd Rhiannon o tym wie.

- Merlin - zawołała cicho. Sowa sfrunęła jej na ramię.

- Dlaczego miałyby bać się burzy? Gdyby nie mieszkał z tobą, teraz byłby na dworze.

- Ale on mieszka tutaj i boi się burzy - spojrzała na sowę czule i uspakajająco. - Wezmę go na dół, tam nie ma tylu okien. Będzie się czuł bardziej bezpiecznie. Zaraz wracam.

Kiedy wyszła Noah pograżył się w rozmyślaniach. Wiedział, co powinien zrobić, gdy wróci. Powinien zachować się jak grzeczny gość, który wie, kiedy pora wyjść. Tylko... czy potrafi? Przecież nie jest gościem. Kochali się - i on zakochał się w niej - a myśl, że spędzi tę noc bez niej, była jak cios sztyletu prosto w serce.

Wiedział, że jej wątpliwości i niepewność nadal stoją między nimi i jeśli nie dotrzyma danej sobie obietnicy, to wszystko zepsuje.

Spędzili razem miły dzień. Śmiali się i rozmawiali.

W sumie czuł, że robi postępy. I właśnie teraz musi odejść.

Rhiannon wróciła i zabrała się do sprzątanía małej kuchenki.

- Może jednak ci pomogę? - zapytał z nadzieją.

- Naprawdę nie trzeba. Nie mam dużo do roboty.

Patrzył, jak sprzątała, a jego cierpienie rosło o kilka stopni z każdą minutą, która mijała zbyt szybko. Wreszcie oderwał od niej wzrok. - Muszę już iść - mruknął do siebie.

Rhiannon odłożyła ścierkę. Bardzo się bała nadejścia tego momentu. Nie chciała, żeby poszedł, ale nie mogła pozwolić mu zostać. - Tak - odezwała się cicho. - Burza może się nasilić. Lepiej być pod dachem, kiedy to się stanie.

- Tak sędzę - rozejrzał się po strychu. Rhiannon zapaliła kilka świec na wypadek kolejnej awarii. - Będzie ci tu dobrze?

- Masz na myśli burzę? Ja się nie boję. Martwię się raczej o ciebie, że będziesz prowadził w taką pogodę.

Tylko jedna myśl kołatała mu w głowie: wyjść z tego domu. Dlatego przeraził się nie na żarty, słysząc swoje własne słowa:

- Może jednak powinienem się nad tym zastanowić? Leje tak strasznie, że drogi pewnie stały się nieprzejezdne.

Pomyślała, że w końcu nie określił terminu wyjazdu do Nowego Jorku, a być może widzi go po raz ostatni.

- Samochód może wpaść do rowu - nie wierzył własnym uszom, że to on powiedział. Zaczął i wydawało mu się, że nigdy nie skończy.

- Wyjdę, a wtedy buty ugrzęzną mi w błocie. Jak spróbuję je wyciągnąć, to zostanę w samych skarpetkach.

Rhiannon stała sparaliżowana. Co on wygaduje?

- Będę musiał wrócić do ciotek w skarpetkach. Droga nie jest przesadnie ruchliwa, a nawet gdyby przypadkiem ktoś przejeżdżał, to i tak się nie zatrzyma - kto zaryzykuje podwiezienie wariata wędrującego bez butów podczas ulewy?

Łzy napłynęły jej do oczu. Uśmiechnęła się. Jest naprawdę kochany... może być nawet adwokatem z wielkiego miasta, może się nie przyzwyczajać do Hilary, tak czy inaczej drażni ją, przygnębia i bardzo podnieca.

- Ludzie prawdopodobnie będą przyśpieszali nawet na mój widok i jeszcze bardziej mnie ochlapią wodą - błotnistą wodą - czuł się jak skończony idiota, ale przynajmniej słuchała go.

- Kiedy przyjadę do domu, Esmé i Lawinia wleją we mnie litr gorącej herbaty i naszpikują mnie paskudnymi lekarami. Dodatkowo pewnie oblepią mnie musztardowym plastrem i obwiążą szyję czerwoną skarpetą, zapiętą na dużą agrafkę do pieluszek.

Zastanawiała się co robić. Pierwszy raz w życiu czuła, że nie może polegać na swoim instynkcie. Docierały do niej bardzo niejasne sygnały.

- Esmé i Lawinia będą nalegały, żebym wypił rosół. W lodówce nie będzie rosółu ani kurczaka, więc myk, myk przez podwórko do kurnika.

Dlaczego nic nie mówi. Niech coś zrobi. Niech każe mu się zamknąć. Niech powie, żeby poszedł, albo żeby został.

- Capną jakiegoś Bogu ducha winnego kurczaka, który już smacznie chrapał, zatargają biedaka za nogi do kuchni i bez litości wrzucą do garnka... A przy tym wszystkim same zamienią się w zmokłe kury...

Chciało jej się śmiać. Chciało jej się płakać.

- I wszyscy troje skończymy w łóżku z trójstronnym zapaleniem płuc, sami bez żadnej opieki...

Był naprawdę zabawny. A ona smutna.

- Tak to może wyglądać, Rhiannon - wziął głęboki oddech. - Chyba że pozwolisz mi zostać u ciebie na noc.

W oczach Rhiannon pojawiły się łzy.

- Och nie, proszę. Nie chciałem cię urazić, nie płacz najmilsza - krzyknął chwytając ją w ramiona.

- Nie uraziłeś mnie - powiedziała z twarzą przytuloną do jego piersi.

- A więc co się stało?

- Jesteś bardzo niemądry.
- Równie dobrze można powiedzieć głupi, a co zabawne, nigdy przedtem ani niemądry, ani głupi.

Odsunął się i spojrzał na nią. - Rhiannon, chciałbym tu zostać na noc. Przysięgam, że chcę tylko być przy tobie... niczego innego nie pragnę.

- Tak - wyszeptała. - Zostań i przytul mnie mocno.

Położyli się na łóżku zawieszonym na czterech złotych łańcuchach i zasnęli przy akompaniamencie ulewy. Całą noc trzymał ją mocno w objęciach.

Zadzwoił telefon. Noah z trudem uniósł powieki i usiłował zlokalizować aparat.

- Chcesz, żebym odebrał?
- Telefon jest tam - powiedziała Rhiannon nie otwierając oczu. Nie zadała sobie trudu, by wskazać konkretne miejsce.
- Dziękuję - powiedział z kwaśną miną i zabrał się do poszukiwań, starając się nie wywrócić wszystkiego do góry nogami.

- Halo?
- Noah? Tu mówi Mark.
- Mark? Jak mnie znalazłeś?
- Zadzwoiłem do twoich ciotek, a one podały mi ten numer.

- A to miło - mruknął zde gustowany, choć prawdę mówiąc niezbyt zaskoczony tym, że Esme i Lawinia wiedziały, gdzie go znaleźć.

- Przepraszam, że cię obudziłem, ale jest dziesiąta i...
- Dziesiąta? Niemożliwe. Nigdy tak długo nie śpię!
- No cóż, dzisiaj tak.

Noah spojrzał w okno. Zdziwiałające! Ani śladu wczorajszej burzy; na jasnym niebie świeciło słońce.

- Nic nie szkodzi. Dowiedziałaś się czegoś?

- Jasne. Narobiłem się jak głupi, mam sporo długów wdzięczności, ale w rezultacie dowiedziałem się, że pewne przedsiębiorstwo ze stanu Nowy Jork o nazwie Collins Chemicals zamierza przenieść swoje zakłady gdzieś na prowincję. Słyszałeś o nich?

- Nie przypominam sobie.

- To solidna firma. Mają dużo nowych kontraktów i praktycznie nieograniczone możliwości rozwoju. Stąd też plany rozbudowy i relokacji zakładów.

- I wybrali Hilary?

- Jeszcze nie podjęli ostatecznej decyzji. Rozważali kilka innych lokalizacji, ale, o ile zdążyłem się zorientować, Hilary ma najwięcej punktów. Trudno do końca powiedzieć, Collins Chemicals nie wyklada kart na stół, są bardzo dyskretni i niewiele mówią.

- Pewnie dlatego nikt tutaj nic nie słyszał.

- Mylisz się, wiem z całą pewnością, że rozmawiali z burmistrzem, jakimś Jerryem Ornettem, a jest jeszcze przynajmniej jedna dobrze poinformowana osoba. Udało mi się przejrzeć rejestr rozmów telefonicznych Collinsa i znalazłem sporo połączeń z Hilary.

- I? - Noah czekał niecierpliwie.

- Osoba, do której telefonowano nazywa się - poczekaj sprawdzę w notatnikach - nazywa się Martin Richardson. Znasz człowieka?

- Martin Richardson. Nazwisko wydaje mi się znajome - Noah przecierał oczy usiłując usunąć resztki snu. Spojrzał na Rhiannon, która siedziała na łóżku z brodą opartą na kolanach.

- Kto to jest Martin Richardson? - zapytał.

- Agent handlowy nieruchomości, ten z którym rozmawiałeś w czasie karnawału - Drakula.

- Drakula, tak? Mark? Tak, znam go.

- Noah, powiedziałaś Drakula?

- Och, nieważne. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Nie wiem, kto się kontaktował z Richardsonem, ale człowiekiem odpowiedzialnym za sprawę przeniesienia fabryki jest niejaki William Strafford. Według moich źródeł będzie dzisiaj w Hilary, żeby podjąć ostateczną decyzję.

- To może być bardzo cenna informacja. Mark, wykonałeś kawał dobrej roboty.

- Dziękuję. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Skontaktuję się z tobą, jak mi coś wpadnie do głowy. Piękne dzięki na razie. Do zobaczenia.

Noah odłożył słuchawkę i obrócił się do Rhiannon. Właśnie wstała z łóżka i wygładzała spódnicę. Oboje spali w ubraniu.

- O co chodzi - spytała.

- Muszę porozmawiać z Martinem i burmistrzem.

- Z Jerrym?

Opowiedział jej pokrótce końcowy fragment rozmowy z Markiem.

- Trudno mi uwierzyć, że Jerry lub Martin są w to zamieszani - powiedziała Rhiannon.

- Wiem. Mnie też trudno w to uwierzyć - przerwał i zachmurzył się uświadamiając sobie, że lubi obydwu tych ludzi. Dziwne, na ogół mijało sporo czasu, zanim się z kimś zaprzyjaźnił.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Żeby się upewnić, trzeba z nimi porozmawiać. Ale najpierw - przyjrzał się sobie krytycznie. - Muszę się doprowadzić do porządku.

- Ja też. Zaczekasz chwilę? Wezmę prysznic i się ubiorę. Potem pojedę z tobą do Esme i Lawinii, przebierzesz się i wrócimy razem do miasta, żeby pomówić z Jerrym i Martinem.

Patrząc na nią pomyślał, że tej nocy był bardzo szczęśliwy.

- Oczywiście, poczekam na ciebie.

W drodze powrotnej z farmy Rhiannon zastanawiała się, co ona właściwie robi tu w samochodzie, obok Noaha. Mimo poważnych wątpliwości co do tego czy ich znajomość ma szanse przetrwania, korzysta z każdej okazji, by z nim być. Z całą świadomością, że powinna odmówić, powiedziała „tak” na propozycję wspólnej kolacji.

Powiedziała tak, kiedy zapytał czy może zostać na noc i na pewien czas ucichła szalejąca wokół niej burza.

Tego ranka nie mogła znieść myśli, że odejdzie i nalegała, żeby zabrał ją ze sobą. A teraz, zamiast pomyśleć o tym, co będzie po rozmowie z Martinem i Jerrym, zajmowała się tylko i wyłącznie siedzącym obok mężczyzną.

Wykąpał się i przebrał. Założył ciemnobrązowe spodnie i sportową koszulę w nieco jaśniejszym odcieniu oraz brązową marynarkę z wielbłądziej wełny. Oskarżał ją o rzucanie uroków, o czary, a prawda była taka, że ona uległa jego urokowi tak samo jak on jej.

Zamknęła oczy. O co jej chodzi. Nigdy nie poznała miłszego, bardziej interesującego mężczyzny niż Noah. Przecież nie zranił jej rozmyślnie. Teraz, z uwagą skoncentrowaną na prowadzeniu, wydawał się spokojny i pewny siebie. Czy to możliwe, że cierpi tak jak ona?

Powiedział wyraźnie, że chce zabrać ją ze sobą, ale jego świat jest gdzieś bardzo daleko od Hilary. Nigdy nie pozwoli się wciągnąć w lunatyczne życie tego miasteczka, w jej życie, bo wie, że nie jest stąd, że nie pasuje do niego. A to jest jedyne miejsce na ziemi, do którego ona pasuje.

Może nie ma żadnej prawdziwej decyzji do podjęcia. Może tych kilka dni spędzonych z Noahem ma być tylko cennym wspomnieniem i niczym więcej?

Z zamyślenia wyrwał ją okrzyk Noaha:

- A oto i burmistrz we własnej osobie! Zatrąbił i zaparkował w najbliższym dostępnym miejscu.

Jerry, który szedł sobie spacerkiem po ulicy, zatrzymał się z pogodnym uśmiechem. - Cześć Noah, Rhiannon. Co dzisiaj porabiacie?

- Szukamy ciebie - powiedziała Rhiannon.

- Czym mogę służyć?

- Słyszeliśmy, że Collin Chemicals kontaktowało się z tobą w sprawie ewentualnej relokacji zakładów z Nowego Jorku do Hilary - zaczął Noah.

- Zgadza się - burmistrz skinął uprzejmie głową.

Noah nie mógł uwierzyć, że Jerry tak łatwo się przyznał.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- A dlaczego miałbym ci mówić? - zapytał burmistrz szczerze zdziwiony.

- Pamiętasz, że wpuściłeś mnie do archiwum w dniu meczu? Mówiłem ci, że interesują mnie tereny na wschodzie miasta i że chcę sprawdzić dokumentację.

- Oczywiście. Powiedziałeś, że interesują cię możliwości inwestycyjne, słowem, nie wspomniałeś o przenosinach Collin Chemicals.

- Bo nie przypuszczałem, że zechcesz mi udzielić tego rodzaju informacji.

- A niby dlaczego nie miałbym tego zrobić?

- Czy to znaczy, że powiedziałabyś mi, gdybym zapytał?

- Oczywiście - Jerry patrzył na nich skonfundowany. - Nic nie rozumiem. O co chodzi?

Noah westchnął głęboko porządkując myśli. - Nie bardzo wiem. Ilu jeszcze ludzi wie o Collins Chemicals? To znaczy, czy informowałeś ludzi, że ta firma kontaktuje się z tobą?

- Nie - Jerry wzruszył ramionami. - Prowadzili jedynie nieoficjalne rozpoznanie. W ostatnich latach mieliśmy wiele

takich propozycji, z których nic nie wyszło. Znasz to przedsiębiorstwo?

- Nie - odparł ponuro Noah. - Jeszcze nie miałem przyjemności. Dziękuję Jerry. Pewnie jeszcze wrócimy do tematu. Tymczasem Rhiannon i ja musimy porozmawiać z innymi osobami.

Martin Richardson był sam w swoim biurze. Kiedy usłyszał, że ktoś wchodzi, wyjrzał z uśmiechem na twarzy. Na widok Noaha uśmiech zamienił się w grymas zdziwienia. - Jak się masz? Myślałem, że miałeś zamiar odjechać na północ po zakończeniu karnawału.

- Zmieniłem zamiary.

- Rozumiem, no cóż, moje gratulacje dla was obojga - Martin rozpogodził się nieco, gdy zauważył Rhiannon. - Bardzo, bardzo się cieszę i wiem, że Esme i Law...

- Nie przyszłoby mi mówić o nas - przerwała mu Rhiannon.

- Ach, tak - powoli opuścił wyciągniętą dłoń. Noah wsadził ręce do kieszeni. - Kiedy moje

ciotki opowiedziały mi o dziwnych rzeczach, jakie przytrafiły się trzem właścicielom terenów po wschodniej stronie miasta i o poważnych sumach, jakie im zaoferowano, zacząłem dochodzenie w tej sprawie. Do tej pory odkryłem, że nowojorskie przedsiębiorstwo Collin Chemicals planuje przeprowadzkę do Hilary. Wiem też, że ktoś z tej firmy wielokrotnie do ciebie wydzwaniał na ten numer. Teraz natomiast chciałbym wiedzieć dlaczego?

Martin zbladł i osunął się na fotel za biurkiem.

- Eee, odpowiedziałem na parę pytań z ich strony, chodziło o możliwości zakupu większej ilości terenów w tej okolicy. Wiecie, normalne sprawy w moim zawodzie.

- Martin - powiedziała łagodnie Rhiannon.

- Znam cię od lat i nie pamiętam, żebyś kłamał.

- Wiem - odrzekł niechętnie, kuląc się w fotelu. - Nie jestem w tym dobry. Moja matka zawsze mi mówiła, że jak się czegoś nie potrafi, lepiej zostawić to innym.

Noah położył dłonie na biurku i spojrzał Martinowi w oczy.

- Czy zadanie wykurzenia ludzi z ich posiadłości zostawiłeś komu innemu, czy też udało ci się samemu to zrobić?

Martin otarł pot z czoła. - Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Cała ta historia od początku mi się nie podobała. Powiedziałem Arturowi, że się do tego nie nadaję.

- Komu? - spytała Rhiannon.

- Arturowi Holdenowi. Chodziliśmy razem do szkoły i ciągle się przyjaźnimy - skrzywił się spoglądając na Noaha. - On pracuje dla Collin Chemicals.

- I kiedy usłyszał, że firma interesuje się Hilary, uznał, że nadarza się wspaniała okazja do zrobienia dużych pieniędzy - Noah pokiwał głową.

- Bardzo dużych pieniędzy. Mimo to powiedziałem mu, że nie chcę oszukiwać moich przyjaciół.

- To strasznie miło z twojej strony, Martin - powiedziała Rhiannon krzyżując ręce na piersi.

- I całkowicie nieetycznie - dodał Martin nie zauważając sarkazmu w jej głosie. - Wszystkim, łącznie z twoją babką, zaoferowałem ceny znacznie wyższe od rynkowych. Nikt nie dałby więcej.

- Z wyjątkiem Collin Chemicals - powiedział Noah. - Oni zapłaciliby dwa razy więcej, prawda?

- To znaczy, zapłaciliby, gdyby ludzie chcieli sprzedać ziemię, a ponieważ nie chcieli, zastosowałeś wypróbowane metody - Rhiannon opuściła ręce. - Martin, jak mogłeś?!

- Och, do diabła. Nie wiem, Rhiannon - chwycił ołówek i cisnął nim o ścianę. - Jak powiedziałem, Artur mnie do tego namówił, nie myślałem, że będą z tego kłopoty.

Noah nie mógł wyjść z podziwu, na pół rozbawiony, na pół zdeglustowany pomyślał, że Martin zachowuje się zupełnie jak mały łobuziak złapany na gorącym uczynku.

- Chodzi jednak o to, że krzywda już się stała i w związku z tym będziesz nam musiał pomóc w jej naprawieniu.

- Ale jak?

- Jeszcze nie wiem - Noah spojrzał na Rhiannon. - Mark powiedział, że William Stratford, człowiek, który zajmuje się przeniesieniem firmy, będzie tu dzisiaj. Wygląda na to, że zapadnie ostateczna decyzja.

- A więc teraz pozostaje zastanowić się, co będzie lepsze dla miasta.

- Zgadza się - powiedział Noah. - I żeby to uzgodnić, proponuję zwołać nadzwyczajną naradę mieszkańców.

- W Niebieskiej Gospodzie? - oczy Rhiannon rozblęły.

- Czytasz w moich myślach, kochanie - odparł rozpromieniony. - Ty pójdziesz razem z nami - zwrócił się do Martina.

- Noah, chyba nikomu nie powiesz, że jestem w to zamieszany?

- Zobaczę, co się da zrobić, ale już teraz możesz zapomnieć o interesie. Natychmiast przekażesz sprawę Cliffordowi. Aha, a tych troje zatrzyma pieniądze z zaliczek.

- Noah - jęknął Martin.

- Martin - powiedziała groźnie Rhiannon. - Nie ty tu jesteś poszkodowany, więc dobrze ci radzę: przestań.

Rozdział 9

Noah rozglądał się po sali. Ludzie siedzieli stłoczeni ramie przy ramieniu w oczekiwaniu na dyskusję. Przysłuchując się im stwierdził, że trudno mu będzie zachować neutralność. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo leży im na sercu los Hilary i tutejszy styl życia. Rozumiał też, dlaczego nie bardzo wiedzą, co mają robić.

Ton nadawały Esme i Lawinia.

- Nie chcemy, żeby Hilary się zmieniło. Nigdy nie sprzedamy naszej ziemi - mówiła Esme potrząsając różowotruskawkową głową dla podkreślenia wagi swoich słów.

- Nie zniesiemy obecności Collin Chemicals w Hilary - dowodziła Lawinia.

- Chcemy spędzić ostatnie lata naszego życia w naszym własnym domu - poparła ją Esme.

- Po naszej śmierci on, jeśli zechce, będzie mógł sprzedać - Lawinia dramatycznym gestem wskazała na Noaha.

- Pytanie tylko, czy możemy ich powstrzymać, jeśli zechcą się tu ulokować - zauważył Jeremiasz Blue.

Wszyscy wyczekująco zerkali na Noaha, uznał więc po chwili wahania, że powinien się włączyć.

- Moglibyście wykupić tereny, którymi interesuje się Collin Chemicals i nie zgodzić się na zlokalizowanie tu strefy przemysłowej. W przypadku gdyby to było niemożliwe, możecie postawić bardzo ostre warunki co do infrastruktury towarzyszącej i ochrony środowiska, tak by cała ta operacja stała się dla firmy nieopłacalna.

- To jest pomysł - powiedziała Esme z aprobatą.

Jeszcze raz uważnie przyjrzał się sali, starając się zorientować, czy zgromadzeni mają świadomość powagi sytuacji.

- Musicie też pomyśleć o innych sprawach. Collin będzie potrzebowało dostępu do wody i energii. Trzeba będzie rozbudować sieć energetyczną i wodociągową, a to kosztowna zabawa.

- Och, to bardzo niedobrze - cmoknęła Lawinia udając zmartwienie.

- Jednocześnie może to być źródłem dużych dochodów dla miasta - kontynuował Noah.

- I to jest dobre - rzekła Marta Blue między jednym a drugim łykiem kawy. - Tak przypuszczam - dodała.

- Wzrosną także wpływy z podatków - powiedział Noah.

Jerry Ornett podniósł do góry widelec z nadzianym nań sporym kawałkiem szarlotki. - Jedną chwileczkę, przecież my wcale nie narzekamy. Mamy wszystko, czego potrzebujemy!

Wszyscy obecni przytaknęli, a Noah mówił dalej:

- Nie musielibyście organizować karnawału i zbiórek na takie cele jak mundury dla orkiestry szkolnej. Pieniądze zawsze by się znalazły.

- Nie organizować karnawału? - w pytaniu Luelli Gibson zabrzmiała zgroza.

Noah przesunął ręką po czole. Nie powinien był wspominać o karnawale

- Z drugiej strony będzie praca dla was i dla waszych dzieci. Nie będą wyjeżdżać do wielkich miast, bo kiedy dorosną, znajdą zatrudnienie na miejscu - powiedział szybko dla zatarcia niemiłego wrażenia.

- Nigdy nie mieliśmy problemów z zatrudnieniem w okolicy - odezwał się Christopher Dean, właściciel piekarni.

Jerry wymachiwał pustym już teraz widelcem i perorował z pełnymi ustami:

- Ludzie! Nie rozumiecie o co tutaj chodzi. Będzie dużo więcej niż kilka nowych miejsc pracy. Jeśli Collin Chemicals przeniesie się do Hilary, to zbuduje tutaj olbrzymie zakłady i

sprawdzą setki swoich pracowników. To zaś oznacza budowę nowych mieszkań, trzeba będzie więcej sklepów, więcej miejsc w szkołach i w klinikach, więcej handlu i usług, żeby wymienić tylko to co najbardziej oczywiste. A to wszystko ktoś musi zbudować i obsługiwać. Na sali zapadła śmiertelna cisza.

- Decydujecie tu o wybudowaniu w Hilary zupełnie nowego miasta - dokończył Jerry po chwili.

- Coś w tym stylu - przyznał Noah.

- A jeśli to nastąpi, to czy mamy szanse się obronić? - spytała Rhiannon po raz pierwszy zabierając głos. - Czy możemy mieć pewność, że zdołamy ocalić nasz styl życia i że to, co kochamy, pozostanie niezmienione?

W jej spokojnych pytaniach Noah wyczuł autentyczną troskę, więc odpowiedział ostrożnie:

- Z samych rozmiarów przedsiębiorstwa i ilości zatrudnionych pracowników wynika, że tylko tyle będziecie w stanie zrobić - to jest minus. Plusem natomiast jest to, że inwestycja Collin pociągnie za sobą wielki boom gospodarczy - wielki, podkreślałam to słowo.

- Mówisz tak, jakbyś uważał, że powinniśmy przyjąć tych ludzi z otwartymi ramionami - Jeremiasz Blue patrzył na Noaha bardzo zamyślony.

- Do niczego was nie namawiam - Noah podniósł obie ręce do góry. - Staram się jedynie pokazać dobre i złe strony tego przedsięwzięcia.

- Ale co ty byś nam radził - spytała Noaha dostojnie wyglądająca matrona w ubielonym mąką fartuchu, która stała obok piekarza.

Rhiannon wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego odpowiedź. Cały czas Noah zachowywał dystans wobec spraw miasta, teraz miał okazję wykazać się zaangażowaniem. Gdyby tylko zechciał zrobić jakiś gest, okazać odrobinę

emocjonalnego zainteresowania dla miejsca, które tak kochała, to może...

- Nie mnie się wypowiadać i doradzać, to wy będziecie ponosili konsekwencje, niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiecie.

Słowa Noaha były dla niej gorzkim rozczarowaniem.

- No cóż, coś trzeba postanowić - westchnęła właścicielka hotelu, Judy Mercer. - Przedstawiciel Collin już przyjechał i czeka na Martina.

Martin Richardson poruszył się niespokojnie, czując na sobie spojrzenia zebranych.

- Po południu mam mu pokazać proponowaną lokalizację. Chce obejrzeć wszystkie tereny i posiadłości wchodzące w grę.

Noah bacznie obserwował salę pełną zmartwionych ludzi, w końcu dotarł spojrzeniem do Rhiannon. Wydało mu się, że widzi w jej oczach wyzwanie i chociaż nie miał pojęcia co oznacza, wiedział przynajmniej, co sam czuje.

- Słuchajcie, odnoszę wrażenie, że nie jesteście przesadnie zachwyceni.

- Hilary już raz przeżyło najazd jankesów - warknął ktoś za nim. - Wtedy to się nam nie podobało i teraz też nie.

Jerry podrapał się po karku. - Sam nie wiem, co robić. Chodzi o to, czy powinniśmy odrzucić szansę na postęp.

- Nie jestem pewny, czy to będzie postęp - powiedział Jeremiasz.

Rhiannon poczekała aż wszyscy wyrażą aprobatę dla słów Jeremiasza, po czym rzekła:

- Myślę, że nikt z nas nie chce, żeby Hilary zmieniło się tak bardzo, jak może to sprawić ta inwestycja. Problem polega na tym, czy oni przyjmą nasze „nie”? Mam na myśli to, jak bardzo będą na nas naciskali.

Nieoczekiwanie głos zabrał Martin.

- Znam trochę tę firmę i musicie wiedzieć, że Collin Chemicals dysponuje dużymi pieniędzmi i władzą. Jeśli wybiorą Hilary - a wszystko na to wskazuje - to rzucają wszystkie siły, żeby nas przekonać do swoich planów. Słyszałem, uff, ponadto że przygotowali pakiety propozycji, których nie będziemy w stanie odrzucić.

W Niebieskiej Gospodzie zawrzało.

- Czy wiesz może, co sądzą o naszych Zaduszkach? - spytała Lawinia.

Martin pokręcił głową.

- Nie sądzę, byśmy mogli liczyć na zrozumienie z ich strony - powiedział Jerry zniechęconym tonem.

- To przesądza sprawę - dodał Jeremiasz.

- Więc co mamy robić? - zapytał szewc.

Noah wyczuwał w powietrzu rozpacz i rozgoryczenie ludzi. Nawet nie patrząc na Rhiannon wiedział, że jest równie nieszczęśliwa jak wszyscy inni. Nagle wydało mu się najzupełniej oczywiste, że musi im pomóc.

- Mam pomysł - powiedział spokojnie.

- Jaki? - Rhiannon spojrzała na niego zdumiona.

- Wolałbym na razie nic nie mówić. Może się nie udać.

Martin, zaplanuj twoje spotkanie z Williamem Stratfordem tak, byście o zmierzchu znaleźli się na farmie babki Rhiannon, na polu po zachodniej stronie domu.

Martin zgodził się niechętnie.

- Rhiannon, chciałbym, żebyś także tam była. Znajdź takie miejsce, z którego będziesz widziała pole, a Strafford ciebie nie.

- Dobrze. W stodole jest strych, ale...

- Żadnych pytań - uciał szorstko, dodając sympatyczny uśmiech dla osłody i zwracając się do zebranych zaapelował:

- Teraz niech wszyscy wracają do swoich zajęć, ale jutro, od samego rana, przebierzecie się w swoje kostiumy. Trzeba żeby William Strafford uświadomił sobie, w co się pakuje.

Rhiannon siadła na podłodze na stryszku w stodole przy otwartych drzwiczkach, opierając się o belę słomy. Przed nią i pod nią rozciągał się niczym nie zakłócony widok na pole. Chociaż zbliżał się wieczór, dokładnie widziała Martina i Williama Strafforda. Było cicho. Ich rozmowa docierała do niej jasno i wyraźnie. Noah się nie pokazywał.

Wyciągnęła z beli źdźbło słomy i zaczęła żuć. Miasto wzięło bardzo poważnie polecenie Noaha i cały dzień ludzie przychodzili do sklepu. Wypożyczali i kupowali kostiumy, rozmawiali o przeróbkach, a nawet zamawiali nowe modele. Hilary potraktowało okazję do noszenia kostiumów jako rodzaj premii i zamierzało się pokazać w całej swojej krasie. Była bardzo zajęta, ale na moment nie przestawała myśleć o Noahu. Zastanawiała się, gdzie się podziewa i co szykuje.

W dole pod nią William Strafford przyglądał się surowo Martinowi.

- Jeden z naszych dyrektorów wygadał się, że on i ty jesteście właścicielami trzech posiadłości, które zamierzamy kupić. Czy to jest jedna z nich?

- Och, nie. W rzeczywistości Artur i ja nie posiadamy tutaj żadnych terenów. Te transakcje nie doszły w końcu do skutku, tylko, uff, Artur jeszcze o tym nie wie.

- Rozumiem. No cóż, kamień spadł mi z serca. Moja firma nie życzy sobie żadnego skandalu. Jeśli któryś z naszych pracowników chciałby wykorzystać dla własnych celów poufne informacje o przeniesieniu, to miałyby spore kłopoty. Jak rozumiesz, nie możemy sobie na to pozwolić. Mam zamiar rozejrzeć się w sytuacji, a po powrocie porozmawiam z Arturem.

- Nie ma już potrzeby zajmować się tą sprawą, panie Strafford

- Jest pan pewien?

- Niestety tak.

- To dobrze - Strafford poklepał go po ramieniu. - Robi się ciemno. Chyba wrócimy do miasta.

- Uhm, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to chciałbym jeszcze tu zostać. Chcę popatrzeć... uhm, jeszcze troszkę.

Strafford obrzucił go dziwnym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

- A więc dobrze, Martin. Jednym z powodów dla których cię zatrudniliśmy, był fakt, że jak twierdził Artur, całe życie spędziłeś w Hilary i znasz tutaj wszystkich. A teraz obejrzałem teren i uważam, że doskonale nadaje się na nasze potrzeby. Z naszych badań wynika, że to miasto dojrzało do inwestycji przemysłowych. Rozmawiałem też krótko z burmistrzem. Nie był bardzo rozmowny, ale wygląda na człowieka, który we właściwym czasie chętnie pomoże. Co o nim sądzisz?

- Jerry Ornett to miły facet.

Strafford pokiwał głową zadowolony. - Opowiedz mi coś więcej o Hilary i o jego mieszkańcach.

Martin wzruszył ramionami szczerze zdumiony. - Nie wiem, co mam panu powiedzieć. Zwykła południowa miejscina. Ja... - odwrócił głowę i zmrużył oczy usiłując coś wypatrzeć w gęstniejącym mroku. - Zabawne, słyszę odgłos końskich kopyt. Ciekawe, kto się wybrał na przejażdżkę o tej porze?

Rhiannon spojrzała w tym samym kierunku co Martin i zobaczyła wynurzającego się z lasu jeźdźca. Mimo słabego już światła widać było wyraźnie mundur Unii i trupioblada twarz. Czekwała zdziwiona i uradowana.

- Mój Boże. To on! - Martin skrył twarz w dłoniach.

- On? Jaki on? - spytał Strafford przyglądając się przerażonej minie rozmówcy. - O czym ty mówisz?

- O Johnie Millerze. To jest John Miller. Nie mogę uwierzyć, ale to on. Co tu robi? Powinien pojechać gdzie indziej. I na dodatek jest bardzo spóźniony.

- Uciekajcie, uciekajcie - wrzeszczał jeździec galopując przez pole. - Wróg nadchodzi. Ratuj się, kto może!

- O Boże! - jęknął Martin wczepiając się w ramię Strafforda. - To zły omen. Mówiłem Arturowi, żeby tego nie robić. Słowo daję. John Miller może być niebezpieczny. Może pana zabić. Mnie też może zabić. Boże, Boże, ja wam pomagałem. Nie, tak naprawdę robiłem to dla siebie, a to jeszcze gorzej, czyż nie tak?

Strafford uwolnił się z uchwytu Martina. - Człowieku, opanuj się. O czym ty mówisz? Kto to jest John Miller?

- Nie widzi pan? To duch. Musimy stąd uciekać - powiedział Martin patrząc nieprzytomnie na Strafforda.

- Chwileczkę. Mówisz, że ten jeździec jest martwy? Daj spokój, Martin. Cóż to za żarty.

- Miasto w niebezpieczeństwie - ryknął jeździec podjeżdżając do domu. - Ratuj się, kto może!

Martin ponownie wpił się w ramię Strafforda i, trzęsąc się ze strachu, usiłował go przekonać. - Nie mam czasu na wyjaśnienia, proszę mi jednak uwierzyć; ten człowiek umarł jakieś sto lat temu, ale jest prawdziwy. To duch z Hilary.

- Naprawdę w to wierzysz? - Strafford spojrzał badawczo na Martina.

- Oczywiście. Wszyscy w to wierzą.

- Chcesz powiedzieć, że całe miasto wierzy w duchy?

- Tak. On zawsze się pojawia w czasie Zaduszek. Właśnie przyjechał i jest wyraźnie zaniepokojony. Pierwszy raz pojawia się poza miastem. To już koniec. Teraz ludzie będą

wiedzieli, że nie należy wpuścić tu Collin Chemicals. John Miller uratował już kiedyś miasto i teraz znowu ostrzega.

- Uciekajcie, uciekajcie - krzyczał jeździec.

- Co za głupoty - mruknął Strafford. - Słyszałem o domach, w których straszy, ale żeby w całym mieście i w okolicy!

- Nie rozumie pan? John Miller boi się, że Collin Chemicals chce zająć miasto. Musimy się stąd wynosić!

- No dobrze - Strafford raz jeszcze popatrzył z niesmakiem na jeźdźca znikającego w oddali. - Wycofamy się. Jutro w pracy porozmawiam z Arturem. Nie uprzedził mnie, że całe Hillary ma bzika.

W swoim ukryciu na górze Rhiannon wybuchnęła radosnym śmiechem.

Rhiannon rzuciła się w objęcia Noaha, jak tylko zjawił się na progu. - Gdzie byłeś? Czekam i czekam.

Noah popatrzył na nią z uśmiechem. Jej złote włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wróciła z podróży do gwiazd. Pachniała zabójczo, a co najważniejsze jej piękne oczy promieniały szczęściem.

- Przepraszam. Miałem parę spraw do załatwienia. Jak ci się podobał mój występ?

- Był wspaniały. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

- Najpierw muszę się kąsnąć, póki jeszcze mogę - powiedział ze śmiechem. - Nauczyłem się jeździć na obozach letnich całe wieki temu. Jutro prawdopodobnie nie będę mógł ruszyć ręką ani nogą.

Opadł bezwładnie na łóżko, pociągając ją ze sobą. Rozejrzał się po pokoju. Na kominku trzaskał wesoło ogień. Merlin drzemał na swoim stanowisku na szafie. Graymalkin pilnował swojego królestwa ze skrzynki z kwiatami. - Wszystko na właściwym miejscu - pomyślał Noah z satysfakcją.

- Zaczynij od początku. Skąd wzięłeś konia?
- Pożyczyłem od sąsiada moich ciotek i u niego spędziłem większość czasu. Musiałem oddać konia, zeszkrobać makijaż i zmienić ubranie.
- A skąd wzięłeś mundur, przecież u mnie w sklepie nie ma mundurów Unii?
- Esme i Lawinia uszyły go na swojej przedpotopowej maszynie na korbkę, zrobiły mi też makijaż. Jak wyglądałem?
- Jak nieświeży trup.
- O to mi właśnie chodziło. A jak oni zareagowali?
- Martina dosłownie zważyło z nóg.
- Wiedziałem, że lepiej się spisz, jak nic nie będzie wiedział - pokiwał głową z zadowoleniem. - A Strafford?
- Uważa, że całe miasto zwariowało.
- Bardzo dobrze. A jutro, jak się obudzi, będzie się mógł przekonać, że się nie mylił. Zobaczy Hilary w pełnej gali, przy czym nie będzie już wytłumaczenia, że to karnawał.
- Och, Noah - roześmiała się Rhiannon. - Nie umiem ci powiedzieć, jaka byłam szczęśliwa widząc cię tam na polu w roli Johna Millera. To było zupełnie do ciebie niepodobne!
- Bardzo chciałem wam pomóc - pogładził ją po twarzy.
- I pomogłeś. Pomogłeś też mnie. Odpowiedziałeś nareszcie na te wszystkie pytania, które mnie dręczyły. Kocham cię, Noah.
- Kochasz mnie? Tak po prostu?
- W pewnym sensie tak, w pewnym sensie nie tak po prostu. Długo się zastanawiałam aż nagle, kiedy wyjechałeś z lasu, nabrałam pewności. Widzisz, martwiło mnie to, że nie należysz do Hilary i co więcej, nie chcesz należeć.
- Zakochałem się w tobie i nie miałem wyboru, musiałem cię wziąć razem z tym miastem, bo bez niego nie istniejesz. Poza tym doszedłem do wniosku, że Hilary ma w sobie coś z wirusa - uśmiechnął się kwaśno. - Jest zaraźliwe.

- Och, nie udawaj. Widziałam, jak cały czas walczysz ze wszystkim w tym mieście, nie wyłączając mnie. Ale dzisiaj na moich oczach udowodniłeś, że zrozumiałeś całe to niewinne w końcu wariactwo Hilary, bo mnie kochasz. To sprawiło, że doceniłam znaczenie miłości bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Odkąd pamiętam, moją jedyną bezpieczną przystanią było Hilary. Teraz mam twoją miłość i już nie boję się wyjazdu.

- Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że pojedziesz ze mną do Nowego Jorku? - Noah nie nadążał za myślami Rhiannon.

- Tak. Albo wszystko jedno dokąd. Nasze wspólne życie jest tego warte.

- A co z tymi wszystkimi uczuciami, których tak bardzo się bałaś?

- Umarłabym bez nich - powiedziała dogłębnie wzruszona. - Dorosłam już do uczuć które we mnie wywołujesz.

Westchnął głęboko i przygarnął ją do siebie.

Wpadający przez otwarte okno blask księżyca rzucał koronkowy cień na łóżko i dwie postacie prowadzące cichą rozmowę.

Opalizujące draperie poruszały się w łagodnych podmuchach wiatru. Noah przesunął dłonią po gołym ramieniu Rhiannon i złożył pocałunek na jej włosach.

- Jest jedna rzecz, o którą bardzo chciałbym cię zapytać.

- Możesz pytać, o co zechcesz. Powinieneś o tym wiedzieć.

- A więc dobrze, dlaczego cały czas ubierasz się na czarno?

- To cię niepokoiło? - spytała zwracając ku niemu twarz.

- Jakby tu powiedzieć... tak, trochę.

- To bardzo proste. Kiedy znalazłam Merlina, był małą kupką nieszczęścia. Przez pierwszy tydzień byłam tak

zaabsorbowana utrzymaniem go przy życiu, że nie zwracałam uwagi na siebie i na swoje ubranie. Przypadkiem nosiłam wtedy czarne rzeczy. I oczywiście Graymalkin był cały czas obecny, a on też jest czarny.

- Bardzo.

- Czas mijał i Merlin wracał do zdrowia. Któregoś dnia założyłam coś w jaskrawym kolorze. Kiedy Merlin mnie zobaczył, zaczął się trząść i nie mógł się uspokoić. Wówczas zrozumiałam, że przyzwyczaił się do mnie ubranej na czarno i tylko w czarnym uważał mnie za swoją rodzinę.

- Nosisz czarne ubrania, bo nie chcesz denerwować sowy?

- Tak - powiedziała wyczekująco.- Czy takie wyjaśnienie jest do przyjęcia? - spytała, ponieważ Noah się nie odzywał.

- Sądzę, że w pewnym sensie tak, ale wiesz co?

Już mnie nie obchodzi, czy masz jakieś rozsądne wyjaśnienie, czy nie.

- Naprawdę?

- Liczy się tylko to, że jesteśmy razem i że jesteś szczęśliwa.

Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią. - Rhiannon, chciałbym otworzyć kancelarię w Hilary. Początkowo jako filię kancelarii w Nowym Jorku. Jestem pewny, że z czasem będę mógł się przenieść na stałe.

- Tutaj? Nie będziesz się nudził?

- Żartujesz, w Hilary? Ludzie tutaj zdecydowanie wymagają opieki. Clifford potrzebuje dużo pomocy. Mógłbym zdobyć klientów w Richmond i w innych miastach, przez pewien okres mógłbym utrzymywać jednocześnie starą kancelarię w Nowym Jorku. Miałbym wszystko co najlepsze z obu światów. A co najważniejsze, miałbym ciebie.

- Nie zapomnij o Merlinie i Graymalkinie - uśmiechnęła się Rhiannon.

- Wierz mi, że trudno o nich zapomnieć.
- Czy w domu, w którym mieszkasz, pozwalają trzymać zwierzęta?
 - Jeśli nie, to się przeniesiemy.
 - Rzecz w tym, że Graymalkin i Merlin przyzwyczajeni są do dużej swobody...
 - Wiem, na pewno sobie poradzimy. Może zostawimy ich na krótko u ciotek. Może zamieszkamy gdzieś pod Nowym Jorkiem. A może. po prostu zostaniemy tu na zawsze.
 - Jesteś wspaniały - szepnęła.
 - To ty jesteś wspaniała - pocałował ją delikatnie.
- Oboje naraz usłyszeli ten dźwięk. Po głównej ulicy Hilary szedł koń.
 - To John Miller - powiedziała cicho.
 - Skąd możesz wiedzieć, czy to nie kolejny wygłup?
 - Bo nie miałyby to sensu. Dwa dni już minęły od Zaduszek. Poza tym już wszyscy wiedzą, że widziano Johna Millera na farmie mojej babki. Nie, to jest prawdziwy John Miller. Nie słyszysz?
- Noah nadstawił ucha. Koń szedł powoli i niepewnie, jakby jeździec szukał czegoś lub kogoś. - Masz rację - wyszeptał Noah. - To musi być on.
 - Nie wstaniesz, żeby zobaczyć?
 - Nie - powiedział potrząsając głową. - Nie potrzebuję dowodów, potrzebuję tylko ciebie - nawinął na palec długie pasmo jasnych włosów. - Ale... tak między nami... chciałbym wiedzieć jeszcze jedno.
 - Co takiego?
 - Jesteś czarownicą, prawda? - zapytał po chwili wahania.
 - Tak uważasz?
 - Rhiannon, nie możesz zaprzeczyć, że posiadasz nade mną niezwykłą moc. Jesteś złotowłosą, niebieskooką

czarownicą, która rzuciła na mnie urok i ukradła mi serce. No, moja droga, przyznaj się.

Tajemniczy czarodziejski uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz.

- Kocham cię - wyszeptała. Zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła do siebie.

Kochankowie nie zauważyli, kiedy zamilkł odgłos końskich kopyt. Nie usłyszeli również dźwięku srebrnego dzwoneczka z obróżki Graymalkina, który ze swojej skrzynki za oknem odprowadzał wzrokiem powoli oddalającego się konia i jeźdźca.

Kot odwrócił głowę i uśmiechnął się zadowolony.

W pazurach trzymał spinkę do mankietów, która lśniła szafirowo w bladym świetle księżyca.